Rok II. Lwów, dnia 15 lipca 1896. Nr. 14.

PRZEGLĄD WSZECHPOLSKI

Dwutygodnik polityczny i społeczny.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Prenumerata w monarchii austryacko-węgierskiej wynosi rocznie 10 koron, półrocznie 5 koron.

Redakcya i Administracya: Lwów, ul. Antoniego Małeckiego 3.

STARE BŁĘDY.

Zarówno w sprawozdaniu, które złożył delegacyom wspólnym hr. Gołuchowski, jak w głosach prasy o tym ważnym dokumencie i w ogóle o polityce zewnętrznej Austryi, łatwo dostrzedz można jeden rys wspólny a wielce znamienny. Nie zamierzamy bynajmniej oceniać krytycznie tej polityki, ani nawet mówić o niej, chcemy tylko zwrócić uwagę na zdania prasy, dosyć zgodnie w tej sprawie wygłoszone, są one bowiem wiernem wyrażeniem sądów politycznych, politycznego sposobu myślenia, bardzo pospolitego w społeczeństwie naszem.

W ciągu ostatniego roku polityka Austryi poniosła porażkę niewątpliwą na półwyspie bałkańskim. Zbyt daleko zaprowadziłoby nas roztrząsanie: dlaczego i jak się to stało. Naturalnie, kierownik polityki zewnętrznej państwa nie mógł jawnie i otwarcie przyznać się do tej porażki, za którą — dodać należy — nie na niego spada odpowiedzialność. Bardzo być może, iż hr. Gołuchowski, jak twierdzą jego zwolennicy, zręcznie i przezornie zapobiegł niebezpiecznym dla państwa skutkom zmiany stosunków w Bułgaryi i wogóle na półwyspie bałkańskim i niema w tem nic dziwnego, ani nagannego, że w sprawozdaniu, publicznie ogłoszonem, starał się osłabić doniosłość niepowodzenia. Nie można jednak nazwać trafnem dowodzenia, którego w danym wypadku użył. Zaznaczając bardzo dyplomatycznie i ogólnikowo zmianę w stosunku państw bałkańskich do Rosyi i Austryi, dla tej drugiej niepomyślną i niepożądaną, położył nacisk na to, że główny cel polityki monarchii został jednak szczęśliwie osiągnięty. Dzienniki, te zwłaszcza, które otrzymują wskazania lub dobrowolnie do nich się stosują, podchwyciły ten frazes i tak go wytłómaczyły, że utrzymanie zagrożonego pokoju wydać się mogło czytelnikom wielkiem i świetnem zwycięztwem politycznem.

Rozprawiamy dzisiaj dużo o polityce realnej, polityce interesów, ale ci, którzy się za jej wyznawców uważają, zwykle bardzo wulgarnie ją pojmują. Utrzymanie pokoju nie jest i nie może być interesem realnym państwa. Zadaniem działalności politycznej państwa jest obrona jego interesów określonych pozytywnych, urzeczywistnienie jego dążeń, zaspokojenie pewnych jego potrzeb. Pokój i wojna — to tylko dwie normy, dwa stany życia politycznego państwa; w pewnym wypadku utrzymanie pokoju może być dla jego interesów korzystnem, w innym — szkodliwem. Można dowodzić, że pogodzenie się Bułgaryi z Rosyą, odstrychnięcie się Serbii, wzmocnienie wpływów rosyjskich w Turcyi, umorzenie sprawy armeńskiej i t. d. — są dla Austryi obojętne lub nawet pożądane, ale jeżeli przyznajemy, że żywotne interesy monarchii zostały narażone na niebezpieczeństwo poważne — to utrzymanie pokoju za taką cenę nie jest wcale zwycięztwem politycznem. Prawdopodobnie z różnych względów utrzymanie pokoju było potrzebnem, nawet koniecznem, powiedzmy więcej — w danych warunkach korzystnem — to inna sprawa, która obecnie nas nie obchodzi bezpośrednio. Nie sprawa bowiem dyplomacyi austryackiej nas zajmuje, ale sąd o niej i zawarty w nim pogląd polityczny.

Narażenie państwa na zmienne i nieprzewidziane losy wojny, bez koniecznej potrzeby, byłoby lekkomyślnością występną, ale utrzymanie pokoju za jakąbądź cenę, poświęcanie dla tego ważnych interesów państwowych i narodowych jest również błędem szkodliwym, chociaż mniej widocznym, bo skutki jego zwykle dopiero później występują. Państwa i narody, które czują w sobie siłę żywotną, nie wahają się nigdy w użyciu wszelkich możliwych środków i sposobów obrony swych interesów realnych w najszerszem znaczeniu tego wyrazu, a więc nietylko swych dóbr i potrzeb, ale i swych dążeń, wpływów i powagi. Wojna jest równie dobrym środkiem, jak pokój, i w polityce o tem tylko może być mowa, który z nich jest w danym wypadku właściwszym; czy wydatek sił i zasobów materyalnych, którego wojna wymaga, czy niebezpieczeństwo, na które zawsze naraża, odpowiadają ważności interesów zagrożonych.

Ma się rozumieć, zakres interesów narodowych i państwowych, których obrona jest konieczną, usprawiedliwiającą użycie wszelkich środków, bez względu nawet na ich następstwa doraźne — jest dosyć ograniczony. Roztropność polityczna polega na ścisłej, właściwej ocenie ważności tych interesów i zastosowaniu do ich obrony środków najlepiej odpowiadających celowi i możliwie najmniej niebezpiecznych, czasem wreszcie na odroczeniu stanowczego działania do chwili sposobnej. Ale niema ona nic wspólnego z pospolitem dziś, lękliwem krótkowidztwem, uważającem każde zakłócenie stosunków istniejących za klęskę, a utrzymanie spokoju za wielkie dobrodziejstwo polityczne.

Podobny pogląd bardzo jest u nas pospolity i często słyszeć można w duchu jego wygłaszane zdania z powodu różnych objawów i dążeń naszego życia narodowego, naszego stosunku do rządów i państw zaborczych, naszej polityki zewnętrznej.

Wartość lub skuteczność wszelkich programów i robót politycznych ocenia się u nas zwykle według tego: czy narażają one społeczeństwo na pewne przykrości i ofiary, czy nie naruszają stosunków istniejących, nie grożą spokojowi wewnętrznemu. Niewątpliwie społeczeństwo nasze, bardziej może, niż każde inne, potrzebuje spokoju, pożądanego dla pomyślnego rozwoju pracy kulturalnej, pomnażającej szczupłe nasze zasoby

duchowe i materyalne. Ale nie znaczy to wcale, że utrzymanie spokoju powinno być głównem, a nawet, jak chcą niektórzy, jedynem naszem zadaniem politycznem, tymbardziej, że istniejący stan rzeczy, którego możliwe zakłócenie, wywołuje najrozmaitsze, czasem jako tako uzasadnione, a czasem zgoła fantastyczne obawy — nie pozwala nam w zaborze pruskim i rosyjskim, ani pracować skutecznie, ani rozwijać się normalnie Nikt chyba nie powie, że istniejące w tych dzielnicach stosunki są dla interesów naszych narodowych korzystne, a jednak tak trwożliwie lękamy się wszelkiej w nich zmiany, jak gdyby stanowiły najpewniejszą rękojmię naszego bytu i rozwoju

Obawa zmiany warunków istnienia lub działania, obawa wszelkiej nowości, chociażby korzystnej, właściwą jest naturze ludzkiej. W każdej sferze działalności, a więc i w polityce, postęp polega właśnie na przełamaniu tej rutyny bezwładnej. My, wskutek warunków naszego bytu, więcej od innych jesteśmy do niej skłonni i często sami opóźniamy nasz rozwój polityczny dlatego jedynie, że boimy się zmiany w naszem położeniu, zwłaszcza jeżeli przypuszczamy, że towarzyszyć jej będą pewne straty, że konieczne są dla urzeczywistnienia naszego celu pewne ofiary.

Walka polityczna, jak każda wogóle walka, bez ofiar, t. j. bez poświęcenia pewnej ilości sił i zasobów, obyć się nie może. Niepodobna, nawet mając pewność zwycięstwa, przewidzieć jej przebiegu, niepodobna zabezpieczyć się od strat i porażek przypadkowych, przeciwnie, należy powiedzieć sobie, że są one nieuniknione. Ludzie, którzy w zasadzie uznają potrzebę i pożyteczność działania politycznego w pewnym kierunku, śmiałego wystąpienia, użycia środków stanowczych i t. p. w praktyce oświadczają się przeciw tej akcyi — bo naraża ona społeczeństwo na ofiary. Interes narodu utożsamia się tu nietylko z interesem pewnej grupy społecznej, ale nawet z interesem jednostek. Naród w pojęciu pospolitem jest tylko zbiorem jednostek: co pewnej liczbie jednostek i ich interesom osobistym szkodzi — to przynosi szkodę narodowi. Cyfra, oznaczająca ilość ofiar, wartość wystawionych na niebezpieczeństwo interesów, określa stopień szkodliwości działania politycznego. Gdybyż przynajmniej, wyrażając ten pogląd z gruntu fałszywy rachowano dokładnie, — ale w danym wypadku oblicza się to wszystko po gospodarsku. Nikt nie liczy tych ofiar, które ponosimy dla utrzymania spokoju, dla obrony tego skromnego kapitału praw obywatelskich i ludzkich, który np. w zaborze rosyjskim jeszcze posiadamy. System szkolny stale zwyradnia moralnie i fizycznie tysiące naszej młodzieży, tej straty jednak nie bierzemy w rachubę, ale potępilibyśmy i oszacowali nad miarę każdą stratę, poniesioną w następstwie działania, mającego na celu zniewolić rząd do pewnej zmiany systemu politycznego względem Polaków. A o ofiarach rozprawiają u nas nietylko ci, którzy potępiają narażający na nie sposób działania jako nieodpowiedni, nie prowadzący do celu, ale i ci, nawet głównie ci, którzy w zasadzie uznają konieczność prowadzenia akcyi energicznej. Zawysoko cenimy życie ludzkie, karyerę i dobrobyt jednostek, które dla nich mogą mieć wielką wartość indywidualną, ale które społecznie, nawet w znacznej stosunkowo cyfrze, stanowią ilość tak drobną, że w rachubach politycznych można jej nie uwzględniać zupełnie. Ileż to istnień ludzkich, ile zasobów marnuje się codziennie w powszednich sprawach życia bez potrzeby i bez celu, i nikt na to uwagi nie zwraca.

Lecz nawet ofiary istotne, które społeczeństwo w walce politycznej składa, nie mogą rozstrzygać o wyborze tej lub innej drogi, tych lub innych środków działania. W żadnej sferze działalności nie można osiągnąć rezultatów pożądanych bez odpowiedniego nakładu życia, zdrowia, siły, pracy, pieniędzy i t. d. Rozwój ekonomiczny, praca kulturalna są niewątpliwie bardzo ważnemi, nie jedynemi wszakże zadaniami życia narodowego i w pewnych warunkach troska o nie schodzić musi na plan drugi, ustępować miejsca innym zadaniom w danej chwili pilniejszym i donioślejszym dla interesów bytu narodowego. Nie chcemy, żeby nas fałszywie zrozumiano, zaznaczamy więc wyraźnie, iż nie doradzamy bynajmniej jakichś wystąpień gwałtownych, a nawet na razie nie wskazujemy żadnej określonej drogi postępowania. Pragniemy tylko, żeby społeczeństwo nasze, które w zaborze rosyjskim, a poniekąd i w zaborze pruskim budzi się z apatyi, w jakiej było pogrążone, zrywa z rutyną oporu biernego lub obrony formalnej praw swoich i szuka, raczej dopiero szukać zaczyna nowych sposobów taktyki politycznej, nowych norm działania — zrozumiało błędność i szkodliwość niemal powszechnego przekonania, że zachowanie spokoju wewnętrznego jest głównem zadaniem, i że można cokolwiek osiągnąć a tymbardziej zdobyć, nie poświęcając nic w zamian, nie składając żadnych ofiar. W okolicznościach wyjątkowych, w jakich np. znalazła się Galicya po r. 1867, możliwem jest pozyskanie lub odzyskanie praw politycznych w dosyć szerokim zakresie i wyzyskanie ich dla sprawy rozwoju narodowego. Rząd austryacki musiał wówczas wejść na drogę kompromisu z dążeniami i interesami ludów, zniewoliły go jednak do tego nietylko warunki zewnętrzne, nietylko wzgląd na konieczność wzmocnienia państwa i dynastyi. Ludy Austryi właściwie mówiąc wywalczyły sobie poprzednio stanowisko, jakie im w chwili odpowiedniej ustawy państwowe przyznać musiały. Nie wszystkie w równej mierze skorzystały i dziś korzystają z samorządu narodowego, zakres pozyskanych praw i swobód był i jest zależnym od wielkości ofiar, które w tym celu poniosły, od gotowości do nowych poświęceń, gdyby zaszła potrzeba, od energii i bezwzględności żądań. Wiadomo, że najwięcej uzyskali Węgrzy, którzy zacięcie z rządem walczyli, a uzyskali np. ze szkodą Chorwatów, którzy byli najwierniejszymi sługami państwa. My Polacy otrzymaliśmy więcej, niż Czesi, daleko silniejsi od nas pod każdym względem, a jeżeli dziś już nam ci ostatni dorównywają, to dlatego, że my w obawie zakłócenia istniejącego stanu rzeczy i możliwego wprawdzie na wypadek zmiany naszego stosunku do rządu, ale czasowego pogorszenia warunków naszego bytu, wyrzekamy się wszelkich śmielszych zamiarów i żądań, oni zaś otrząsnęli się z tej obawy i narażając się na przykrości i niepokoje, w rezultacie każdą stratę chwilową pokrywają wdwójnasób nowemi zdobyczami.

Społeczeństwo nasze w ostatnich czasach otrząsa się powoli i wyzwala z bierności politycznej, w której było pogrążone. Nawet w warunkach najmniej pomyślnych, w zaborze rosyjskim objaw ten jest tak widocznym, że dostrzega go świadek niepodejrzany, korespondent *Czasu* i stanowczo zaznacza, aczkolwiek fałszywie tłómaczy. Ruch ludowy w Galicyi i Poznańskiem, szybki wzrost świadomości narodowej w śpiących do niedawna dzielnicach kresowych — to także pokrewne objawy nowego zwrotu. Nie wyrażają go one całkowicie, ale świadczą o jakimś fermencie, o jakiejś robocie

przygotowawczej do zmian ważnych w polityce narodowej. W takiej chwili należy tymbardziej zastanowić się nad zasadami naszego postępowania, należy sprawdzać je i oceniać na nowo ich wartość, oczyszczać je z błędów, pozbywać się pospolitych i fałszywych komunałów i kłamstw umówionych, które jasność sądu mącą.

Na jeden z takich poglądów fałszywych, który stał się u nas niemal dogmatem politycznym, zwracamy uwagę czytelników naszych. Rozumowanie nasze wydać się im może nie dosyć jasnem, dowody nie dosyć przekonywającymi, ale my też nie chcemy narzucać im swego zdania, pragniemy tylko pobudzić ich do wniknięcia głębszego w tę sprawę, do zastanowienia się nad nią poważnie i wszechstronnie.

Niema polityki bez walki, t. j. bez starcia się przeciwnych dążeń i interesów, nie ma walki bez ofiar, bez strat nawet dla zwycięzców. Narody, które skąpią poświęceń, które dlatego, że boją się ofiar, a boją się dlatego, że nie umieją rachować strat i zysków — wyrzekają się zadań swoich, uszczuplają dobrowolnie zakres swych interesów, takie narody zawsze marnieją i giną. Historya nie zna żadnego narodu, któryby zgubiły śmiałe zamysły, szerokie plany, gotowość do ofiar, do wytrwałej obrony swych interesów żywotnych, bez względu na doraźne straty i niepowodzenia. Ale my z własnego doświadczenia dobrze wiemy, jaki los czeka państwo i naród, które nadewszystko spokój miłują i dla tego lubego spokoju, dla uniknięcia przykrych wstrząśnień, zgadzają się na złożenie w ofierze interesów publicznych byle ocalić swoje interesy osobiste. Taką była właśnie polityka polska w epoce upadku. Nie wtedy upadła Polska, kiedy straciła resztę wątpliwej samodzielności, ale już wtedy, kiedy w czasie pierwszego rozbioru dla ocalenia kraju od klęski wojny, dla utrzymania za wszelką cenę pokoju, oddawała dobrowolnie całe prowincye. A nawet wcześniej jeszcze zaczął się ten upadek, kiedy Sobieski odstąpił bez walki Kijów Moskwie i zawarł z nią pokój wieczny, kiedy Rzeczpospolita bez protestu pozwoliła wydrzeć sobie Kurlandyą. Ideałem politycznym ówczesnego szlachcica był taki spokój absolutny, taka cisza błoga, żeby mógł »słodko drzemać na łonie miłej ojczyzny«. Nie chcąc przerywać gnuśnego wywczasu, społeczeństwo szlacheckie pozwalało obcym poniewierać sobą, abdykowało z godności narodu, poświęcało najżywotniejsze swe interesy i dla usprawiedliwienia swej bezczynności wymyśliło potworną teoryę, że słabość państwa i narodu stanowi »najpewniejsze *palladium* Rzeczypospolitej«. Ci, co dzisiaj wciąż mówią o znękaniu i wyczerpaniu społeczeństwa polskiego, które potrzebuje i pragnie spokoju, przedewszystkiem spokoju, co twierdzą, że każde poruszenie się narodu, każdy krok śmielszy naraża byt nasz, co drżą z obawy strat możliwych i umieją liczyć tylko ofiary, a nie widzą skutków tego nakładu energii — to nieodrodni potomkowie polityków szlacheckich XVIII wieku, spadkobiercy ich mądrości. Wyszukano w przeszłości naszej mnóstwo błędów urojonych lub istotnych, nie zwrócono jednak uwagi na ten fakt znamienny, że nasza myśl polityczna nietylko w pojęciach ogółu, ale nawet w pojęciach wybitnych jego przedstawicieli, nie otrząsnęła się dotychczas z wpływu tej zgubnej tradycyi politycznej, tego doktrynerstwa szlacheckiego, które przed stoma laty doprowadziły Polskę do upadku.

Był to sromotny upadek polityczny potężnego niegdyś państwa, upadek duchowy narodu, którego myśl i wola w epoce męzkiego rozkwitu nie lękały się prób najcięższych i wyprowadzały go z nich zwycięzko. Płodami ówczesnej zgnilizny żywimy się dziś jeszcze świadomie lub bezwiednie, są one dla nas cudownym eliksirem roztropności politycznej.

Słuszność przyznać nakazuje, że nietylko zachowawcy są w naszem życiu narodowem wyznawcami zasady bierności politycznej, nietylko oni nazywają zachowanie spokoju głównym warunkiem zachowania bytu narodowego i ubolewają nad ofiarami. Bardziej winne są w tym względzie żywioły liberalne, które, nie mając właściwie żadnego programu działania, maskują w ten sposób, często bezwiednie, swoją nieudolność polityczną i bezsilność. Interesy tej warstwy społecznej, którą zachowawcy przedstawiają, tych grup, z których się rekrutują, godzą się wcale nieźle z biernem zachowaniem się społeczeństwa, z polityką lękliwej ostrożności. Żyją oni przeważnie chwilą dzisiejszą, wiedząc, że przyszłość nie do nich należy, że więc nie warto poświęcać dla niej korzyści doraźnych, zresztą obchodzą ich niemal wyłącznie sprawy osobiste i klasowe. Rozumieją jednak, jak to niedawno *Czas* zaznaczył, że bezwładność polityczna jest dla społeczeństwa zgubną i chętnie podejmują taką akcyę, która ich interesów nie naraża. Ich działalność ofiar nie wymaga, bo celem jej utrzymanie tego, co jest, lub w najlepszym razie skuteczniejsze wyzyskiwanie istniejących stosunków i warunków, oni nie pragną wcale nowych nabytków w dziedzinie praw i potrzeb narodowych, za które płacić trzeba poświęceniem interesów osobistych i wyrzeczeniem się korzyści chwilowych na rzecz sprawy publicznej i przyszłości narodu.

Polityka realna, jeżeli mamy na myśli jej cele bezpośrednie oraz środki i sposoby działania, nie powinna przekraczać zakresu życia jednego pokolenia, wybiegać za granice tych stosunków, które dokładnie poznać lub z wszelkiem prawdopodobieństwem przewidzieć możemy. Ale nie powinna również zrywać ciągłości interesów narodu, która wypływa z jego tradycyi dziejowej, z jego dążeń przyrodzonych.

Wiemy o tem doskonale z własnego i cudzego doświadczenia, że rozszerzenie zakresu praw narodowych, że wszelkie wogóle nabytki polityczne nie mogą dostać się nam z łaski, że na przypadek szczęśliwy w polityce liczyć nie wolno. To, czego nam potrzeba, musimy wymódz, wytargować, zdobyć, słowem wywalczyć, zniewolić rządy zaborcze do ustępstw i kompromisów. W Prusiech, zwłaszcza zaś w Rosyi posiadamy tak niewiele, zakres praw naszych tak jest szczupły, że polityka nasza nie może być obronną, musi być zdobywczą. Zresztą i walka obronna bez ofiar obyć się nie może. Nie wolno nam zapominać o tem i cofać się z obawy strat nieodzownych. Nie mówimy tu o ofiarach z życia i mienia w przedsięwzięciach ryzykownych, ale o przejęciu się tą myślą, że przebieg każdej walki nawet najszczęśliwiej prowadzonej musi być zmiennym, że nie można w każdej chwili robić dowolnie bilansu zysków i strat i na jego podstawie wyrokować o skuteczności działania, że chcąc coś zdobyć, trzeba też coś poświęcić koniecznie. Ocenianie działalności publicznej z punktu widzenia spraw i interesów osobistych jest nową odmianą tej prywaty, która była jedną z głównych przyczyn naszego upadku politycznego i z której dotychczas otrząsnąć się nie możemy. Niema ofiar zbyt wielkich, kiedy chodzi o dobro pospolite, o interesy żywotne i przyszłość narodu. Trzeba strzedz się wysiłków i poświęceń zbytecznych, trzeba rozważnie szafo-

wać energią i zasobami narodu, ale nie można wyrzekać się czynnej pracy politycznej, dlatego, że ona ofiar wymaga. Trzeźwość w polityce nie ma nic wspólnego z taką praktycznością poziomą.

OŚWIATA LUDU W GALICYI.

I. „Szkoła ludowa“.

(Dokończenie).

Statut Towarzystwa Szkoły ludowej ułożono w ten sposób, aby z jednej strony masy — w ścisłem tego słowa znaczeniu — pociągnąć do czynnego współudziału w szeroko pojętej pracy kulturalnej, a z drugiej zapewnić instytucyi możliwie prędko trwały byt na przyszłość. Postanowiono zarzucić cały kraj gęstą siecią kół i kółeczek, z których każde w swoim okręgu miało zjednywać Towarzystwu jak najliczniejszych zwolenników w szerokich warstwach społeczeństwa, równocześnie zaś przewidziano potrzebę utworzenia kapitału zakładowego, nienaruszalnego, który jedynie w odsetkach może służyć do zaspokojenia bieżących potrzeb Towarzystwa t. j. głównie do pokrywania kosztów budowy i utrzymywania szkół. Ta właśnie zasada nienaruszalności funduszu zakładowego, sama w sobie rozumna i zdrowa, w większych, nietylko publicznych instytucyach nawet wprost niezbędna, pojęta wszakże trochę skrajnie i jednostronnie, nie licząca się z t. zw. psychologią mas, przeszkodziła również do pewnego stopnia szybkiemu rozwojowi Towarzystwa. Przyczynił się do tego mimowoli Zarząd główny, który korzystając z prawa nadanego mu ogólnikowym w tej mierze przepisem statutu, główną zwrócił uwagę na powiększanie wszelkiemi możliwemi środkami funduszu zakładowego, a czynił to w niejednokrotnie ujawnianej myśli, że wobec niepewnej trwałości zainteresowania się ofiarnego ogółu Towarzystwem, należy koniecznie zabezpieczyć finansowe podstawy instytucyi o tyle, aby w danym razie, gdy zwyczajne źródła dochodów nie dopiszą, móc najważniejsze i niejako naturalne jej potrzeby opędzać przynajmniej odsetkami tego trwałego funduszu. Budowano więc utartym zwyczajem na zimnym raczej rachunku, z pewnem lekceważeniem innych, moralnej natury czynników, z powątpiewaniem o ich skuteczności i sile. Można się zgadzać lub nie zgadzać na taką, niewątpliwie z szczerego przekonania płynącą zasadę, można w niej upatrywać przesadny, niewytłómaczony pessymizm lub odwrotnie, usprawiedliwioną, chwalebną nawet troskliwość, oglądającą się praktycznie na »czarną godzinę«, niemniej wszakże trudno zaprzeczyć, że ta praktyka ujemnie oddziałała na intenzywność rozwoju i akcyi Towarzystwa. Gdy bowiem znaczną część różnorodnych dochodów zakwalifikowano do nienaruszalnego funduszu zakładowego, uszczuplono tem samem zasoby obrotowe, któremi Towarzystwo głównie działa i działać powinno, uniemożliwiono mu prędkie spełnianie żywotnych zadań, a w następstwie zrażono do instytucyi te dla niej tak pożądane masy, które — jak uczy psychologia tłumów — łatwo do rzeczy wzniosłych, nawet abstrakcyjnych zapalić, w stałej atoli ofiarności utrzymać trudno, a można tego dokonać jedynie szybkiem dostarczaniem konkretnych dowodów pracy, doraźnem stawianiem widomych pomników materyalnych ofiar.

Wprawdzie do tej chwili nie rozstrzygnięto u nas jeszcze ostatecznie kwestyi, co Towarzystwu z takim jak »Szkoła ludowa« zakresem działania na lepsze wyjść może, czy skrzętna ale krępująca na zewnątrz i wyłącznie prawie na zakładowym kapitale oparta gospodarka, czy też metoda przeciwna, która nie spogląda trwożliwie w niepewną przyszłość, nie ceni zbyt nisko sił własnych, lecz rzuca z odwagą, z zapałem i pełną wiarą w skutek możliwie największe zasoby w wir potrzeb piekących i pilnych. Bądź co bądź jednak dotychczasowe postępowanie Zarządu głównego w łonie samego Towarzystwa spotkało się z krytyką wcale poważną. Podniosły się głosy przeciw kapitalizowaniu funduszów, o tyle niesłuszne, że o kapitalizacyi w ścisłem pojęciu właściwie mowy nie było. Wskazywano atoli wymownie na przykład Czech, których *Matice Skolska* nie rozporządza żadnym wogóle kapitałem zakładowym, a wszystkie swoje fundusze »lokuje« w budynkach szkolnych i w tych widomych pomnikach swej działalności, jak dowodnie stwierdzono, pozyskuje najlepsze dla celów swoich środki agitacyjne i źródła najsilniejszej propagandy. Powoływano się na podobny ustrój finansowy *Schulvereinu*. Zarząd główny Towarzystwa ostrzegał przed zbytnim optymizmem, wykazywał niewłaściwość »lokacyi« funduszów w gmachach szkolnych, które nietylko dochodów przynosić nie mogą, lecz owszem stałe za sobą pociągają wydatki, tłómaczył i uzasadniał stanowisko swoje odmiennem położeniem naszem i warunkami, w jakich żyjemy. Ostatecznie drogą wzajemnych ustępstw załatwiono tę sprawę na razie jak *aurea mediocritas* nakazywała: na nadzwyczajnem walnem zgromadzeniu w Krakowie b. r. uchwalono zmianę statutu w tym duchu, że na przyszłość tylko pewne, wyraźnie zastrzeżone dochody wpływać mają do funduszu zakładowego, który dopóki nie osiągnie maksymalnej cyfry 100.000 zł., ma pozostać nienaruszonym jak dotąd, po za tą wszakże granicą będzie mógł później według uznania ogółu członków służyć na równi z dochodami bieżącemi do bezpośredniego spełniania właściwych instytucyi zadań.

Takim sposobem rozwiązano w pewnej przynajmniej mierze pęta, wstrzymujące szybki rozwój Towarzystwa. Jednakże z drugiej strony Zarząd główny cięższy jeszcze zdaniem naszym błąd popełnił w innym kierunku przez to, że od samego niemal początku przyłożył rękę do wyłomu w zasadzie centralizacyi funduszów.

Centralizacya taka, przeprowadzona o ile możności bezwzględnie i ściśle przestrzegana, jest konieczną, jeżeli Towarzystwo ma się naprawdę skutecznie wywiązywać z swych wielostronnych zadań. Wkładki wszystkich członków i dochody wszystkich kół, po opędzeniu niezbędnych kosztów administracyjnych, powinny w całości wpływać do kasy centralnej i skupiać się w Zarządzie głównym, który jako jedyny gospodarz instytucyi i kierownik, mając z natury rzeczy jaśniejszy i bardziej bezstronny, niż koła miejscowe, pogląd na całokształt jej interesów, musi mieć również możność swobodnego ale i pełnego rozrządzania zasobami według najlepszej swej wiedzy i woli w kierunku potrzeb, z ogólno narodowego stanowiska uznanych za najpilniejsze i najmniej cierpiące zwłoki. Zarząd główny, odpowiedzialny przed społeczeństwem, powinien był od samego początku dla dobra powierzonego mu Towarzystwa bronić tego swego prawa, któreby mu niewątpliwie większość członków przyznać musiała nawet wtedy, gdyby z jakiejkolwiek strony objawiło się z tego powodu niezadowolenie. Niestety stało się inaczej. Już w pierwszym roku istnienia jedno z kół zażądało od kierownictwa, aby mu wolno było połowę zebranych

przez nie dochodów zatrzymać u siebie i obracać na »cele miejscowe«, a Zarząd główny postąpił o tyle niebacznie, że w zadaleko posuniętej kurtoazyi dla dam (mowa o Kole pań we Lwowie) natychmiast pozwolenia udzielił, choć może później żałować mu wypadło pospiechu, z jakim to uczynił. Fakt nie mógł pozostać ani tajemnicą ani przywilejem jednego tylko Koła, pociągnął więc za sobą wnet dalsze, podobne, wyjątek wkrótce przemienił się w regułę, gdyż takie samo ustępstwo musiano po kolei uczynić innym i wszystkim wreszcie Kołom, a w rezultacie do tego doszło, że Towarzystwo jako całość rozporządza właściwie tylko połową dochodów, któreby mieć mogło i które mu statut przyznaje, druga zaś połowa, rozbita na atomy, rozproszona w »celach miejscowych«, ginie właściwie bez śladu i instytucyi jako takiej rzetelnego pożytku nie przynosi. Pozbawiając się dobrowolnie, a co gorsza stale, tak znacznej siły finansowej, wyrządzono Towarzystwu dotkliwy uszczerbek, którego bynajmniej nie usprawiedliwia argument, że w ten sposób zachęca się Koła do wydatniejszej pracy w celu przysparzania instytucyi dochodów. Fakta zaprzeczyły temu stanowczo, pokazało się nawet, że Towarzystwo znacznie więcej traci niż połowę, nietylko bowiem cyfra ogólnych zasobów zmniejszyła się ostatniemi czasy, ale jak czytamy w sprawozdaniach, nie wszystkie Koła poczuwają się do obowiązku przesyłania Zarządowi głównemu 50% swych wpływów, i wiele z nich, mimo, że dochody niewątpliwe posiada i mimo energicznych napomnień ze strony władzy centralnej, skarbu Towarzystwa albo wcale nie zasila albo tylko śmiesznie drobnemi kwotami. Kurtoazya dla dam pomściła się więc tym razem fatalnie.

Wierzymy w to chętnie, że przymus odsyłania wszystkich dochodów Zarządowi głównemu mógł się niektórym Kołom, zwłaszcza bardziej oddalonym od centrum instytucyi, nie podobać, rozumiemy, że mogli nań sarkać ludzie, najpoczciwsi zresztą, którzy jednak nie oswoili się jeszcze należycie z skomplikowaną organizacyą Towarzystwa i nie nabrali jasnego wyobrażenia o jego nielokalnem, a ogólno narodowem znaczeniu. Zarząd główny powinien był jednak zaradzić temu bez osłabiania materyalnych podstaw »Szkoły ludowej«. Systematyczne wyrabianie zdrowych i prostowanie skrzywionych pojęć, wytrwałe rozjaśnianie istotnych zadań i celów Towarzystwa, które nie pozwalają mu ograniczać się drobnemi, miejscowemi interesami, dowodne wreszcie przekonywanie Kół, skłonnych do nieufności, że każda ich skarga, każda potrzeba, jeśli tylko ma głębszą, uzasadnioną słuszność za sobą, może liczyć na pewne — w miarę sił i środków — poparcie kierownictwa, wszystko to odniosłoby niewątpliwie skutek pożądany, z czasem zaś szeroki ogół członków *musiałby* uznać centralizacyę funduszów, jako rzecz naturalną i niezbędną. Ostatecznie, w wypadkach wyjątkowych, gdyby to się okazało nieuniknionem możnaby temu lub owemu Kołu przyznać nawet pewne, drobne w tej mierze ustępstwo, szczególnemi wskazane względami, byleby to nie wyrodziło się znowu w zasadę, dla wszystkich obowiązującą. Zresztą sądzimy, że nietyle sam fakt odsyłania dochodów Zarządowi głównemi zniechęca ludzi do Towarzystwa, jak raczej bezczynność niektórych Kół, które po za tą administracyjną manipulacyą nie widzą innych zadań przed sobą, takich właśnie, które przewidziane statutem, urzeczywistniać się dają łatwo w grupach miejscowych bez żadnego nakładu finansowego lub kosztem niewielkim. Poniżej jeszcze o tych zadaniach wspomniemy, tu tylko stwierdzamy z ubolewaniem błąd popełniony, który na przyszłość, choćby to wielkie przedstawiało trudności, trzeba będzie naprawić koniecznie, w imię dobra i pomyślnego rozwoju Towarzystwa.

Nie potrzebujemy zdaje się zapewniać, że w wytykaniu powyższych usterek i błędów nie kieruje nami chęć szkodzenia najpoważniejszej z polskich instytucyj kulturalnych w Galicyi, lecz przeciwnie, najszczersza dla niej życzliwość, która z prawdomownością śmiało chyba pogodzić się może i winna. Gdyby nie te usterki i błędy, jesteśmy głęboko przekonani, że Towarzystwo »Szkoły ludowej« miałoby dziś już o wiele silniejsze podstawy materyalne i wszechstronną działalnością mogłoby zaimponować nietylko swoim ale i obcym. Chcąc wszakże mieć dokładny i prawdziwy obraz Towarzystwa, nie godzi się patrzeć na nie wyłącznie przez pryzmat stron ujemnych. Słuszność nakazuje podnieść równocześnie i wskazać dowody jego działalności naprawdę dodatniej i płodnej, które silnie przeciwważą tamtym, budzą otuchę, rozpraszają obawy i zapowiadają coraz to pełniejszy rozwój w przyszłości.

Na szczere przedewszystkiem uznanie zasługuje przebijająca się w dotychczasowej działalności Zarządu głównego świadomość znaczenia kresów i poczucie potrzeby chronienia ich od zagłady. Baczną uwagę od samego niemal początku zwrócono na wschodnie i zachodnie zagrożone pogranicza polskości. Pierwszą szkołę ludową otrzymała od Towarzystwa stara osada mazurska w Ulicku Seredkiewicz, koło Magierowa. Szkoła ta imienia Tadeusza Kościuszki, znakomicie zorganizowana, daje przeszło 80 dzieciom polskim naukę i wychowanie w ojczystym języku, pod troskliwą opieką sumiennej, oddanej swemu zawodowi nauczycielki rozwija się ze wszech miar pomyślnie i służyć może za godny naśladowania wzór szkoły, pod każdym względem urządzonej wzorowo. To samo da się powiedzieć o dwóch innych przybytkach oświaty, już wykończonych w Hołoskowie (pow. nadwórniański), rodzinnem miejscu poety Franciszka Karpińskiego i w Dołhy Wojniłowskiej koło Rohatyna. Nie koniec na tem. Raz podjęta akcya w kierunku budowy szkół nie ustaje, lecz płynie w dalszym ciągu coraz to szerszem korytem, a co szczególne, że właśnie wtedy nabiera większej energii i ruchliwości, gdy wskutek chwilowego omdlenia ofiarności ogółu dochody Towarzystwa dotkliwie zmniejszać się zaczęły. Świadczy to bądź co bądź o zdrowym powiewie w kierujących sferach instytucyi. Delejów i Laszki, Łukowiec Wiśniowski, Jeziorko, Chromohorb, te wysepki mazurskie po ruskiem morzu rozsiane, są najbliższemi z kolei etapami, na których szczytna idea szczepienia dusz polskich w wynaradawianej dziatwie ma się urzeczywistniać. Nie wchodzą tu w rachubę liczne zasiłki biednym gminom na budowę szkół udzielane pod warunkiem, że język polski pozostanie w nich wykładowym. Nie zapomniano również o Bukowinie, gdzie ludność nasza wtłoczona między Rusinów, Rumunów i Niemców, z największym wysiłkiem byt swój narodowy utrzymuje. Staraniem Towarzystwa zorganizowano tam do tej pory w dwóch miejscowościach (Seret i Suczawa) naukę polskiego języka, co jeśli ma być zapowiedzią dalszej, szersze kręgi obejmującej akcyi, przyjąć należy z zadowoleniem.

Na zachodnich kresach, szczególnie na Śląsku, budowie szkół polskich przeszkadzają poważne trudności miejscowe. Możnaby je pokonać i usunąć, ale potrzeba na to znacznych nakładów pieniężnych. Zapewne brak sił dostatecznych nie pozwolił na razie organizować szkół polskich dla dziatwy, na którą, jak wiadomo, nie-

tylko Niemcy ale i Czesi ostrzą sobie zęby. Zarząd główny Towarzystwa »Szkoły ludowej« jedyne dotychczas dowody pamięci o Śląsku dawał przez mniej lub więcej szczodre zasilanie kilku tamtejszych czytelń polskich. Pomoc ta jednak nie stoi w żadnym stosunku do olbrzymich potrzeb Śląska, jako dzielnicy kresowej, zaniedbanej przez nas i opuszczonej od wieków. Prawda, każdy grosz tam rzucony, każda posłana tam książka, przynosi wysoki procent moralny i nie ginie bez śladu. Ale od instytucyi, którą dla ratowania kresów powołano do życia, można i trzeba żądać bezwarunkowo więcej. Budowa szkół polskich na Śląsku jest rzeczą naglącą, zwłaszcza wobec istniejącego już gimnazyum polskiego w Cieszynie, które wszakżeż wymaga odpowiedniego przygotowania dziatwy w ojczystym języku, skoro zaś dziś jeszcze Towarzystwo brakiem sił materyalnych pętane, nie może się zerwać do większych lotów, to należałoby przystąpić na razie przynajmniej do tworzenia polskich ochronek na Śląsku, które znacznie mniej kosztują, a pożytek przynoszą zbawienny i trwały, gdyż dziatwa w dźwięki mowy polskiej od najmłodszego wsłuchana wieku, stawałaby się odporną na wszelkie wpływy obce i później, przy pewnej jeszcze pomocy z zewnątrz, nie zatracałaby poczucia narodowego w szkołach niemieckich lub czeskich. Rzecz dziwna, że Zarząd główny dotąd o tem nie pomyślał. *Schulverein* łoży na ochronki tysiące, bo też Niemcy doskonale rozumieją, jak cenny materyał prrzedstawia najmłodsza dziatwa, jak ważny czynnik narodowy urobić z niej można łatwym stosunkowo sposobem. Czynnika tego i nam lekceważyć nie wolno, przeciwnie we własnej obronie, we własnym interesie godzi się nim jak najtroskliwiej zaopiekować.

O gęsiem gospodarowaniu się Niemców w powiecie bialskim wspomnieliśmy już poprzednio. Uderzyć nam się w piersi, żeśmy sami długoletniem niedbalstwem naszem dopomogli bezczelności kulturtregerów przybrać tak wielkie rozmiary. Pomimo, że w samem mieście Biały, według dat urzędowych, jest 26% Polaków, w graniczącej z nią gminie Lipniku 41%, a w sąsiednich Komorowicach mieszka ludność prawie wyłącznie polska, niema tam do tej pory ani jednej szkoły ludowej, w którejby po polsku nauczano. Zdawałoby się, że szkoła taka nietylko istnieć powinna oddawna, ale nawet mogłaby być jako zakład publiczny utrzymywaną kosztem kraju lub gminy, byleby miejscowa ludność polska energicznie upominała się o swoje prawa. Tak nakazywałaby przypuszczać zdrowa logika, wierząca w sprawiedliwość społeczną. A jednak, wstyd wyznać, w powiecie bialskim niema dziś o tem mowy dzięki austryackim ustawom szkolnym, które pozwalają reprezentacyom gminnym samodzielnie decydować o języku wykładowym w szkołach publicznych. Zarządy gmin Biały i Lipnika spoczywają zaś właśnie w ręku Niemców, którzy szczególnie wrogo dla polskiej ludności usposobieni, ani słyszeć o tem nie chcą, żeby jakakolwiek nie niemiecka szkoła publiczna na ich terytoryum postała. W takich warunkach nie było więc innej rady jak pomyśleć o założeniu tam polskiej szkoły prywatnej. Po dłuższej rozwadze Zarząd główny Tow. »Szkoły ludowej« postanowił myśl tę wykonać: nie zrażono się trudnościami ani ciężarem, jaki to za sobą pociąga, zakrzątnięto się żwawo, wykołatano z kilku stron znaczniejszą pomoc finansową, zakupiono odpowiedni grunt, wypracowano plany i posunięto sprawę już tak daleko, że, jak słychać, wspaniały gmach sześcioklasowej szkoły polskiej w Biały będzie mógł w przyszłym roku otworzyć dziatwie naszej podwoje. Doprowadzając do skutku to dzieło doniosłego znaczenia, »Szkoła ludowa« pozyska jeden uczciwie zapracowany tytuł więcej do żądania ofiarnej nadal pomocy całego społeczeństwa. Nie wątpić, że »propaganda czynu« opłaci się Towarzystwu sowiciej niż najgorętsze odezwy, zwiększając zaś środki materyalne, da mu zarazem możność rozwijania z czasem o wiele wydatniejszej działalności, która stopniowo coraz to szersze kręgi zataczać powinna.

Pragnąc sumiennie wypełnić ramy statutu, który dozwala działać w całem państwie austryackiem, nie zawadziłoby też może kiedyś przypomnieć sobie biednych, opuszczonych Słowaków węgierskich i w ogóle nieco uważniej przyjrzeć się tamtej stronie Tatr i Karpat. Niwa to wdzięczna i żyzna, choć ogółowi naszemu zupełnie nieznana Pod względem kulturalnym byłoby tam niejedno do zrobienia, a pod narodowym do zyskania bardzo wiele. Nie śmiemy czynić zarzutu Zarządowi głównemu, że nie wyjrzał dotąd poza granice Galicyi i Śląska, bo go dostatecznie tłómaczy brak środków i sił, za słabych dziś jeszcze nawet do zaspokajania potrzeb najbliższych. Nie zachęcamy też do zgubnego przerzucania się na dalsze pola pracy, dopóki dom własny nie będzie oczyszczony i w węgłach swoich wzmocniony. Silną jednak w nas wiara, że Towarzystwo »Szkoły ludowej« pod umiejętnem kierownictwem ludzi, świadomych jego ogólno polskiego znaczenia, podobnie jak *Macierz* u Czechów, stanie się u nas niedługo instytucyą najpopularniejszą i w zasoby róść będzie potężnie W tej myśli zwracamy uwagę na obowiązki, które wykonać w dalszej może dopiero przyszłości wypadnie, o których wszakże pomyśleć i dziś już nie zaszkodzi.

Nakoniec kilka słów jeszcze pod adresem zarządów t. zw. »Kół miejscowych«. Głównym ich obowiązkiem jednać instytucyi członków, przysparzać jej dochodów, zasilać jak najobficiej kasę centralną. Poza tą wszakże czynnością administracyjnej natury, w praktyce bądź co bądź niezbyt zachęcającą i wdzięczną, jest cały szereg zadań pięknych, żywotnych, leżących u nas dotąd odłogiem, których spełnienia od Zarządu głównego żadną miarą wymagać nie można, a które, jakby stworzone dla takich właśnie grup miejscowych jak Koła Towarzystwa »Szkoły ludowej«, łatwo z niewielkim nakładem trudu i ofiar materyalnych, więc bez finansowego uszczerbku dla całej instytucyi, urzeczywistnić się dają Na dowód, jak małemi środkami stosunkowo wielkie osiągać można rezultaty, niech służą przykłady prób, stwierdzonych już do pewnego stopnia pomyślnem doświadczeniem.

Mniej więcej od roku istnieją w Krakowie bezpłatne wypożyczalnie książek, obecnie w liczbie trzech, pod bezpośrednim zarządem i opieką t. zw. »Koła trzeciego«. Rozwój ich w krótkim czasie przeszedł najśmielsze oczekiwania. Apetyt na pokarm duchowy w niższych warstwach miejskiej ludności, które najwięcej dostarczają czytelników, jest tak silny, że wypożyczalnie podołać mu nie są w stanie. Wpływ ich, zbyteczna zapewniać, nader zbawienny. Słychać, że zachęcone dobrym wynikiem, w ślady krakowskiego Koła wstąpić zamierza już lwowskie Koło pań, to samo zaś uczynić powinny bez straty czasu wszystkie Koła Towarzystwa w miejscach swoich siedzib. Dodać wypada, że wypożyczalnie krakowskie wcale prawie finansowego budżetu »Szkoły ludowej« nie obciążają, członkowie bowiem obsługują je bezinteresownie w lokalach użyczonych przez miasto, a książek najrozmaitszej treści dostarcza ofiarność prywatna, zadowolona z dobrego

uczynku. W najmniejszem miasteczku galicyjskiem na podobnych warunkach zorganizowana wypożyczalnia, mogłaby rzetelne oddawać usługi. Czyż nie warto poświęcić trochę dobrej woli i zapału tej uśmiechającej się pracy kulturalnej, która z pewnością wielceby się przyczyniła do podniesienia z czasem opłakanego dziś poziomu umysłowego miast i miasteczek?.

Inny przykład niemniej wymowny. Koło męskie w Krakowie otworzyło w dniu 3 maja b. r. pierwszą szkołę dla dorosłych analfabetów. Znów rezultaty świetne. Urządzono na próbę jeden oddział, który wszakże już po dwóch miesiącach okazał się za szczupłym dla pomieszczenia »uczniów« łaknących duchowego pokarmu. Uczniowie ci rekrutują się z najniższych warstw społeczeństwa, z t. zw. prostego ludu. »Szkoła« nic nie kosztuje, uproszeni nauczyciele wykładają bezinteresownie, a niezbędne czynności administracyjne załatwiają członkowie Towarzystwa. Takie same »szkoły« powinnyby według gotowego już wzoru powstać wszędzie, gdziekolwiek istnieją Koła miejscowe. Wszędzie potrzeba ich zachodzi. We Lwowie, jak dowodzą urzędowe wykazy, (po odliczeniu dzieci) znajduje się przeszło 35.000 ludzi, nie umiejących czytać i pisać. W prowincyonalnych miastach procent analfabetów znacznie jest wyższy. Jest więc dla kogo pracować, a praca taka, nie mówiąc nawet o wewnętrznem zadowoleniu, jakie daje, i dla którego też nieraz potrudzić się warto, ale pod firmą Towarzystwa »Szkoły ludowej« przedsiębrana, stworzyłaby sama przez się silną dla celów tej instytucyi propagandę i popularyzowałaby ją znakomicie.

Największych dzieł początki bywały zawsze słabe i niepokaźne. Takiemi początkami u nas są niewątpliwie szkoły dla analfabetów, torują wszakże drogę dalszym, na szerszą skalę zakreślanym planom i mimowoli przywodzą na myśl potrzebę systematycznego zorganizowania w przyszłości stałych popularno naukowych kursów, na wzór t. zw. uniwersytetów ludowych, które w Anglii, Danii, Szwecyi, w Ameryce północnej ustaloną już mają sławę i olbrzymiem cieszą się powodzeniem. Nie pojmujemy, dlaczegoby uniwersytety ludowe miały być i dla nas ideałem niedoścignionym. Tam, gdzie istnieją szkoły wyższe i średnie, gdzie więc można znaleść gotowy materyał odpowiednich sił nauczycielskich, urządzanie podobnych kursów, wolnych od wszelkiego zabarwienia polityczno- lub społeczno-agitacyjnego, hołdujących jedynie celom naukowym, nie powinno i nie może poważnych przedstawiać trudności. Niech tylko zarządy »Kół« wezmą się czemprędzej do takiej właśnie roboty, niech zakładają na razie bezpłatne wypożyczalnie w całym kraju i szkoły dla analfabetów, niech się zaogni szlachetne między niemi współzawodnictwo, niech się prześcigają wzajemnie nie tyle w pomysłach, ile w praktycznem, wszechstronnem ich wykonaniu, a zgłuchną niewieście, żale na brak poparcia u ogółu i wśród wytężonej pracy nie przyjdzie nikomu nawet na myśl powstawać na konieczną centralizacyę funduszów, przeciwnie, wszyscy błogosławić ją będą jako dźwignię, na której »Szkoła ludowa« wzniesie się do wyżyn, o jakich założyciele marzyć nawet nie śmieli.

Zawisza.

SPRAWA KROŻAŃSKA W OŚWIETLENIU DOKUMENTÓW.

II.

Okolicznością, umożliwiającą rzucenie właściwego światła na sprawę krożańską, jest nietylko to, że dziś posiadamy względnie dokładny jej opis w wydawnictwie, o którem wspomnieliśmy, ale i to także, że sprawa ta należy już, bądź co bądź, do przeszłości, że los jej uczestników nie wchodzi już obecnie w grę, że z drugiej strony, nie pisząc pod bezpośredniem wrażeniem nieludzkich okrucieństw, możemy patrzeć na rzecz ze spokojem i zachować odpowiedni stopień przedmiotowości. Nie mamy potrzeby dziś liczyć się z wpływem tego, co piszemy, na przebieg sprawy w sądzie, bo sąd już wyrok swój wydał, ani występować, jako obrońcy oskarżonych o opór, bo oni już swą karę odsiedzieli i opuścili więzienie; oswoiwszy się zaś z tem wszystkiem, co działało tu silnie na uczucia, przetrawiwszy, że tak powiem, całą okropność zdarzeń w swej istocie moralnej, uwalniamy się poniekąd od poczucia bezpośredniej potrzeby oskarżenia przedewszystkiem wobec świata umundurowanych zbójów, Klingenbergów i Orżewskich. Ważną nadewszystko rzeczą jest dla nas zrozumienie, czem sprawa w istocie swej była, dlaczego wypadki przybrały taki obrót, a nie inny.

Gdy głównem zadaniem obrońców przed izbą sądową wileńską było dowieść wszelkimi sposobami, że oporu przeciw władzom, że buntu żadnego w Krożach właściwie nie było, i wysiłki ich w tym względzie zasługiwały na wszelkie uznanie, bo miały na celu wyjęcie czynów z pod pewnych, groźnych paragrafów kodeksu, gdy znów dziennikarze rozmaici dowodzili tego samego w celu wykazania, że mordowano lud uległy, pokorny, że zatem morderstwa nie zostały niczem wywołane, ale dokonane jedynie pod działaniem dzikich instynktów — my, biorąc rzeczy sumiennie, tak jak one wyglądają w oświetleniu autentycznych dokumentów, nie możemy zaprzeczyć, że zachowanie się parafian krożańskich było oporem przeciw władzy, było wystąpieniem do walki z jej przedstawicielami. W nocy dnia 10 listopada Kroże widziały energiczny bunt i energiczniejsze jeszcze jego stłumienie.

Kto ten bunt wywołał? co było jego przyczyną?...

Przedewszyskiem rząd rosyjski i jego system tępienia polskości na Litwie, w szczególności zaś ukaz 10 czerwca 1893 roku. Jaki może być wpływ na umysły systemu, którego istotę stanowi bezwzględne prześladowanie narodowości i religii? jaki mógł być skutek ukazu, postanawiającego zburzenie potrzebnego ludziom kościoła — jak się okazało, kosztem 11 tysięcy rubli — po to tylko, ażeby o jeden kościół w kraju było mniej, oraz użycie majątku poklasztornego na rzecz prawosławnej cerkwi, na urządzenie osady rosyjskiej, na cele nie mające nic wspólnego z potrzebami ludności, przeciwnie wrogie jej, wreszcie na szkołę, która tylko z imienia szkołą bywa?... Nie potrzeba fanatycznie religijnej ludności, ażeby podobny ukaz poruszył ją do głębi, ażeby w duszach wzbudził bunt przeciw władzy, od której ten ukaz pochodzi. Czy ten bunt wewnętrzny ujawni się w czynie, to już zależy od rozmaitych okoliczności, ale samo powstanie jego w umysłach jest nieuniknionym skutkiem rozporządzenia. Rząd, wydając podobny ukaz, musi być świadom wpływu jego na ludność; jeżeli zaś nie cofa się przed takiem postąpie-

niem, to dlatego że ufa w swą grozę, która powstrzyma lud od czynnego oporu, i w swą siłę, która w razie oporu zgniecie go z łatwością.

Rząd więc, przez swój ukaz, był pierwszym i głównym winowajcą buntu, jeżeli zaś nie można powiedzieć, że wywołał go umyślnie — bo bunty ludu nigdy nie są dla rządu korzystne — to, prócz złej woli, trzeba mu przypisać nieznajomość ludu, skutkiem której przeliczył się co do uroku swej władzy, oczekując biernego przyjęcia nienawistnego rozporządzenia.

Szereg prób wykonania ukazu i zamknięcia kościoła, jak widzimy z opisu wypadków, poprzedzających noc 10 listopada, nie udał się — lud nie pozwolił. Cóż więc pozostawało? Można było opamiętać się, zrozumieć, że rząd wobec poddanych jakiegokolwiek wyznania, jakiejkolwiek narodowości nie powinien występować nigdy w tak nikczemnem świetle, że lud w danym razie zbyt ma rozwinięte poczucie praw swoich i słuszności wogóle, że charakter jego zbyt jest przytem stanowczy, ażeby łatwo uległ niesłychanemu bezprawiu — wtedy należało cofnąć rozporządzenie wobec tak wyraźnie, w dość lojalny zresztą sposób, ujawnionej woli ludu. Ale dla rządu rosyjskiego wola poddanych nie istnieje, nie pozwoli on na jej objawienie i nie posłucha jej, bo zaprzeczyłby swej naczelnej zasadzie. Pozostawało więc tylko użycie siły, wobec energii opierającego się ludu, w sposób dość gwałtowny.

Wyobraźmy sobie teraz, że uznajemy politykę rządu rosyjskiego w ziemiach polskich, że nic nie mamy przeciw kasowaniu klasztorów, burzeniu kościołów, zakładaniu »osad rosyjskich« w gęsto zaludnionym, nie potrzebującym osadnictwa kraju, że w danym wypadku uznajemy za potrzebny ukaz 10 czerwca i konieczność wykonania rozporządzeń jakimkolwiek kosztem. I wtedy nawet powinniśmy baczyć, ażeby rzecz się obyła jak najmniejszym kosztem, żeby, ze względu na pożądany zawsze dla państwa spokój w kraju, jak najmniej użyto siły. Ten, kto miał postanowić o sposobie wyjścia z położenia, musiał być człowiekiem należycie uzdolnionym pod względem umysłowym, a jeszcze więcej pod względem charakteru.

Los chciał, że rola ta przypadła gubernatorowi Klingenbergowi. Któż to jest gubernator Klingenberg?

Rosyanin, pochodzenia niemieckiego, prawosławny, był za rządów generał-gubernatora Totlebena pomocnikiem prokuratora w Wilnie, potem — dziwna, ale nierzadka w Rosyi karyera — policmajstrem wileńskim; później został wicegubernatorem, wreszcie gubernatorem kowieńskim. Stróż sprawiedliwości, potem stróż porządku, wreszcie rządca części kraju — wszystko to niewiele mówi. Więcej można wyczytać z portretu, załączonego do książki z opisem sprawy.

Gładko uczesany, z dobrze utrzymaną, na pół rozdzieloną brodą, w binoklach, usiłuje on wyglądać na porządnego, cywilizowanego urzędnika, przy tem wszystkiem atoli twarz ta może służyć za cały akt oskarżenia. Maluje się na niej brak wszelkich szlachetniejszych uczuć, brak charakteru; przyglądając się całemu jej układowi i badając wyraz oczu, mimowoli powiadamy sobie: »człowiek ten musi być ostatnim nikczemnikiem i tchórzem«. Trzeba pamiętać, że tchórze zazwyczaj bywają okrutni. Na uwagę zasługuje jeden wybitny szczegół, mianowicie ucho, niekształtne, u dołu przyrośnięte do twarzy i przedłużające się na niej ku dołowi w postaci wałeczka. Jest to znane dobrze antropologom, t. zw. ucho Morela, dość rzadkie u ludzi normalnych, ale zato stwierdzone u większości (o ile dobrze pamiętam, u 56%) zbrodniarzy.

Zestawmy tę twarz ze szlachetną, męską, pełną charakteru twarzą jednego z głównych oskarżonych, włościanina Rymkusa, a będziemy mieli całą treść dramatu, który się owej pamiętnej nocy rozegrał.

Klingenberg, jako najwyższa w gubernii władza stanął w nocy w Krożach w celu złamania oporu ludu. Jak wiadomo, czynu tego dokonał... zrobiwszy wszystko, co można, ażeby zajście skończyło się jak największą katastrofą. Nikczemny tchórz, nie miał dosyć zimnej krwi i umiarkowania, ażeby w odpowiedni, nawet dla przedstawiciela władzy rosyjskiej, sposób wyjść z trudnego położenia.

Nie możemy tu kreślić szczegółowej historyi owej pamiętnej nocy, raz dla tego, że zadużoby to nam miejsca zajęło, powtóre, że obfity materyał, dziś ogłoszony, nie wystarcza jeszcze do wyjaśnienia sobie wielu ważnych szczegółów. Zalecając tedy czytelnikowi pilne przestudyowanie książki, tu zanotujemy tylko główne momenty starcia.

Przyjechawszy w nocy do Kroż, gubernator kowieński postanowił na razie nie przedsiębrać nic aż do nadejścia wezwanych trzech sotni kozaków. Rozporządzał wprawdzie siedemdziesięciu ludźmi zbrojnymi w broń białą i palną i miał się spotkać z tłumem nieuzbrojonym, ale, znając widocznie dobrze siebie, rozumiał, że dopiero mając za plecami trzy setki pik kozackich, będzie mógł poczuć w sobie charakter. Gdy atoli był już zdecydowany biernie oczekiwać ranka, doniesiono mu, że lud się zachowuje pokornie i że gotów jest do uległości względem gubernatora. Wobec tego uczuł w sobie popęd do bohaterstwa i z całą eskortą udał się do kościoła.

Nie znalazłszy nikogo przed murem cmentarnym i w jego obrębie, obsadził cmentarz przed drzwiami kościoła strażnikami i chciał wejść do świątyni. Tu atoli natrafił na przeszkodę.

We drzwiach kościelnych stali ludzie trzymający portrety pary carskiej, po za którymi stał mężczyzna w komży z krzyżem, a dalej za nimi tłum wypełniający kościół. Dziwne widowisko. Tłum, stawiający opór ustanowionej przez cara władzy, zasłania się carskimi portretami. Występuje tu cała naiwna, ale nie ostatniego gatunku dyplomacya — płód chłopskiego rozumu. Postanowiwszy się opierać i kościoła nie dać, rozumiejąc, że ma przeciw sobie całą potęgę państwową z carem na czele, lud ten wiedział, że siłą fizyczną nic nie poradzi. Poszukał więc sposobu ubezwładnienia innymi środkami obecnych na miejscu przedstawicieli rządu i zdawało mu się, że sposób znalazł. Zdawało mu się, że wystawiwszy przeciw urzędnikom wizerunki carskie, że żądając rozkazu oddania kościoła z carskim podpisem, wytrąci siepaczom broń z ręki. Stając przeciw przedstawicielom władzy z krzyżem, z godłem, w imię którego się opierał, ale nie ufając, żeby ono było uszanowane, zasłonił się tem, co dla urzędnika jest świętszem od krzyża — podobizną cara.

Natrafiwszy na taką przeszkodę gubernator zaczął od przemowy do ludu, żądając oddania krzyża i portretów i ustąpienia z kościoła. Zaczęła się dość długo trwająca wymiana zdań, przyczem stojący obok gubernatora księża tłómaczyli rosyjskie jego słowa na język żmudzki. Tłum się nie okazał wcale pokornym i uległym, ale wydawał groźne okrzyki, darząc gubernatora obelgami. P. Klingenbergowi wobec tego charakter począł nie dopisywać i zaczął już myśleć o wycofaniu się

i czekaniu na kozaków, tem bardziej, że próba wydarcia gwałtem carskich portretów nie udała się (są dane nieurzędowe, że cięto pałaszami po rękach tych, co trzymali portrety). Ale gdy na wydany przez niego rozkaz zamknięcia kościoła wraz z wypełniającym go ludem tłum począł ustępować i powoli opuszczać kościół, naraz wstąpiła weń odwaga, a raczej właściwe tchórzom zuchwalstwo, i wypuścił na cofający się lud strażników z nahajkami. Zbyt pospolity to objaw psychologiczny u tchórzów. Wobec oporu miękną, drżą ze strachu, ale gdy opór ustąpi, wtedy zjawia się chęć zemsty za chwile doznanego strachu i rodzi się tanie bohaterstwo.

Gubernator jednak nie znał tych, z którymi miał do czynienia. Mierzył on duszę ludu swoją własną, nie przypuszczając, jak wogóle nikczemnicy, że po przeciwnej stronie znajdzie głęboko tkwiące w duszy poczucie godności ludzkiej, które przy dotknięciu nahajki buntuje się, odpowiada niezależną prawie od woli jednostek reakcyą. Gubernatorowi Klingenbergowi zdawało się, że lud, z którym miał do czynienia — to lud czujący i myślący tak, jak jego »współobywatele« z nad Uralu, albo nawet z nad Wołgi, że z chwilą, gdy raz okazał posłuszeństwo, nahajka może już na skórze jego bezkarnie pracować, zwiększając tylko stopień tego posłuszeństwa i przyspieszając wykonanie rozkazów. Gubernator popełnił wielki błąd, którego o mało życiem nie przypłacił.

Gdy nahajki puszczono w ruch, lud, który podczas opróżnienia kościoła gromadził się za murem cmentarnym, rzucił się ku gubernatorowi falą, a kamienie i koły z płotów posypały się, jak grad, na przedstawicieli państwa. Wtedy Klingenberg ze swoimi odpowiadając strzałami na pociski, cofnął się do kościoła, i drzwi jego kazał zabarykadować ławkami i konfesyonałem. Tu znów charakter... opuścił go. Straciwszy głowę, począł szukać kąta do bezpieczniejszego ukrycia się na wypadek oczekiwanego wtargnięcia tłumu do kościoła. Jedyna szczęśliwa myśl, jaka mu błysnęła podczas całej nocy, wskazała chór kościelny. Tam uciekł z częścią swej eskorty, zatarasowawszy za sobą wejście. Waleczny urzędnik zrozumiał, że nie pozostaje mu nic więcej, jak czekać nadejścia kozaków.

Tymczasem tłum wtargnął do kościoła i tu zaczęła się ciekawa scena, malująca znakomicie charakter Klingenberga i usposobienie ludu. Śród ostatniego walczyły dwa uczucia: z jednej nienawiść do ciemięzców i oburzenie na nich za znieważenie kościoła i za nahajki, z drugiej zaś przewidywanie tragicznego końca całego zajścia, strasznej zemsty ze strony rządu za urzędników. Pierwsze pchało do gwałtownego czynu, do wymordowania chociażby wszystkich napastników, drugie nakazywało zachować jak największą powściągliwość. Przy towarzyszeniu obelg i pocisków ze strony ludu i strzałów ze strony przedstawicieli władz zaczęły się oryginalne pertraktacye. Lud przez usta włościanina Brazłowskiego, ex-żołnierza, władającego językiem urzędowym, żądał spisania protokołu, dla stwierdzenia, że urzędnicy wdarli się do kościoła, »jak Turcy i Tatarzy«, »jak zbóje«, że »Moskale« strzelali do ludu i t. d, domagał się od gubernatora medalów, pieczęci i t. p. dowodów, że jest rzeczywiście gubernatorem, i ciągle usiłował dostać się na chór, od czego powstrzymywały go strzały. Tu już gubernator stracił resztki swego animuszu. »Zrozumieliśmy wtedy — powiada w swem zeznaniu przed sędzią śledczym — że jedynym ratunkiem dla nas będzie przetrwać aż do przybycia kozaków i w tym celu wszczęliśmy rozmowę ze stojącymi na dole przy schodach włościanami...« Groźny Klingenberg zdobył się na pokorę baranka, prosił o papier, potem o atrament, potem o pióro, zapewnił lud, że już zabrał się do pisania protokołu, ciągle mu się psuło pióro, prosił więc o inne, kilkakrotnie mu przynoszono nowe pióra i t. d., aby tylko czasu jak najwięcej zyskać.

Nazewnątrz za murem cmentarnym część policyi prowadziła utarczki z ludem zgromadzonym, bezskutecznie starając się odeprzeć go od kościoła. Sypały się kamienie, koły i kule bez ustanku.

Położenie gubernatora stawało się coraz krytyczniejsze. Żandarm, siedzący w okienku na górze napróżno wyglądał kozaków, lud coraz groźniej napierał, a Klingenberg oblewał się zimnym potem...

Wtem żandarm z góry zawiadomił, że na drodze ukazali się kozacy. Gubernator Klingenberg odzyskał odwagę. *R. S.*

Z CAŁEJ POLSKI.

Zwycięztwo w sprawie komisyi kolonizacyjnej. Ciekawe odkrycia. Obojętność posłów i gorliwość wyborców. Stosunki kościelne w zaborze rosyjskim. Wiec lwowski i telegram do papieża. Kongres katolicko-polski w Ameryce.

Prasa polska w zaborze pruskim nie przywykła do głoszenia tryumfów, do chlubienia się poważnemi zdobyczami, nie można się więc jej dziwić, że za wielką może nadała wagę »zwycięztwu moralnemu« Polaków w parlamencie niemieckim. W rozprawach nad kodeksem cywilnym, który budzi powszechne niemal niezadowolenie, ale który cesarz Wilhelm popiera gorliwie, uważając jedność prawodawstwa za znak widomy jedności narodowej Niemiec, Koło polskie głosowało za przyjęciem ustawy i tylko przy pojedynczych paragrafach stawiło drobne poprawki. Nawet korespondentowi *Kraju* wydało się to w danej chwili nadmiarem uprzejmości ugodowej, zapytał więc posła Dziembowskiego o wyjaśnienie stanowiska Koła. Okazało się z tej rozmowy, że przedstawicielstwo polskie przyjęło nową zasadę polityczną, zaczyna ono odróżniać dążenia pruskie od dążeń narodu niemieckiego. Dziś te ostatnie są jeszcze pod świeżym wpływem Bismarka, ale inaczej było w niedawnej przeszłości i inaczej w blizkiej przyszłości być może. Przeciw samej zasadzie nic powiedzieć nie można, pismo nasze wskazywało na nią kilkakrotnie i bardzo niedawno sformułował ją w *Przeglądzie Wszechpolskim* p. Bartosz Ostoja, chociaż trochę inaczej, niż formułuje Koło, sądząc z korespondencyi w *Kraju*. Koło polskie postanowiło »nie występować przeciw niemieckości w ogóle«, chce w niej uszanować »kulturalną ideę narodową«, opozycyą zaś »stawić będzie Prusom i ich dążnościom i duchowi pruskiemu, ilekroć on się wrogo zetknie z polskością«. Ma to być w gruncie rzeczy myśl i program Kościelskiego (?)«.

Dziwny jest, co prawda, ten program, który w miarę potrzeby zmienia się nawet w głowie i ustach swego twórcy, ale pozostawmy go w spokoju i zapomnieniu słusznie mu należnem. Ważniejszą jest rzeczą pewna niekonsekwencya w stosowaniu tej zasady, którą jakoby Koło w przyszłości chce się rządzić. Jednolite prawodawstwo cywilne dla całego państwa jest właśnie wytworem ducha pruskiego, a opinia publiczna Niemiec nie jest z tej ustawy zadowolnioną, partykularzyści zaś t. j. właściwie federaliści ostro przeciw niej występują.

Ale jeżeli w danym wypadku taktyka Koła była niewłaściwą teoretycznie, na dowód jej trafności wogóle może ono przytoczyć argument, posiadający dla ludzi wielką moc przekonywającą — powodzenie. Niewątpliwem bowiem powodzeniem parlamentarnem jest wprowadzenie poprawki do artykułu 60 kodeksu. Artykuł ten głosi, że ustawa ogólna nie narusza wcale ważności przepisów specyalnych o włościach rentowych i kolonizacyi. Koło polskie zażądało wykreślenia dwóch ostatnich wyrazów i do życzenia przychylił się parlament w trzeciem czytaniu kodeksu. W ten sposób większość przedstawicieli Niemiec potępiła prawa wyjątkowe, przeciwko Polakom wyłącznie skierowane. Uchwała parlamentu może mieć nawet znaczenie praktyczne. Ma się rozumieć, przesadzają umyślnie jej doniosłość pisma niemieckie, jak n. p. półurzędowa *Nordd. Allg. Zeitung*, która z udanem oburzeniem woła, że *die Ansiedelungsgesetzgebung ist damit gefallen!* Znosi istotnie uchwała parlamentu zakaz sprzedawania parcel kolonizacyjnych Polakom, ale gdyby nawet nasi chłopi od r. 1900, t. j. od chwili wejścia w życie nowego kodeksu, zaczęli wykupywać pomału zagrody niemieckie, tyle jeszcze ziemi sprzedaje corocznie szlachta, że przez długi czas tylko straty w naszym rachunku zapisywać będziemy. Jest to rzeczywiście przedewszystkiem »zwycięstwo moralne«, jak je nazwały pisma poznańskie, ułatwiające nam poniekąd działalność odporną, ale pod tym warunkiem, że sami wytworzymy w sobie odpowiednią siłę.

Z powodu tego zwycięstwa parlamentarnepo wywiązała się w prasie polskiej polemika. *Kuryer poznański* a za nim *Dziennik* skorzystać z tego wypadku chciały dla poprawienia reputacyi naszych powag politycznych i przypisały główną zasługę posłowi Cegielskiemu. *Goniec wielkopolski* w odpowiedzi zaznaczył, że wprawdzie p. Cegielski postawił wniosek o wykreślenie z artykułu 60 kilku wyrazów, ale opozycya, niezadowolona z zachowania się Polaków, nie poparła go i wniosek upadł. Dopiero, gdy go podjął poseł Czarliński i wszedł w porozumienie z frakcyami opozycyjnemi, wniosek przeszedł. Z polemiki, toczonej z tego powodu, dowiedzieliśmy się kilku ciekawych rzeczy.

P. Cegielski zaprotestował przeciw wysuwaniu na plan pierwszy jego osoby i zaznaczył, że nie mógł wcześniej tego uczynić, bo bawiąc w Berlinie, nie miał sposobności czytania pism polskich. Okazuje się więc, że posłowie nasi nie wiele sobie robią z opinii publicznej, nawet z tych jej organów, które ich politykę popierają. Wprawdzie *Dziennik poznański*, spostrzegłszy po niewczasie złe wrażenie, wywołane zbytnią otwartością p. Cegielskiego, wyjaśnił, że od 1 lipca do czytelni poselskiej nie zaprenumerowano pism polskich z powodu oczekiwanych feryj, w każdym razie dziwną wydaje się obojętność naszych przedstawicieli względem dzienników, które w Berlinie łatwo znaleźć można, które zresztą znajdują się w kawiarniach i restauracyach, przez członków Koła zwiedzanych.

Drugie odkrycie jest jeszcze ciekawsze. Osaczony przez przeciwników *Kuryer poznański* w uniesieniu polemicznem wygadał się mimowoli, że właściwie zwycięstwo było przypadkowem, bo kiedy głosowano nad poprawką, z 19 posłów polskich do parlamentu, 3 tylko znajdowało się w sali. Ponieważ Koło chlubi się odniesionem zwycięstwem, widocznie więc uznaje sprawę za ważną, a w takim razie nieobecność posłów w chwili, kiedy głosowano nad podpisanym przez nich wnioskiem, jest więcej niż nieprzyzwoitą, jest karygodną. Nie pierwszy to już raz tak się zdarza, posłowie polscy w Berlinie lekceważą obowiązki swoje i uważają sprawowanie mandatów za łaskę, wyświadczaną społeczeństwu

Z tą obojętnością wybrańców zestawmy jednocześnie zaznaczoną w dziennikach gorliwość wyborców. Jeden z nich — niejaki Andrearczyk gdzieś z nad Renu czy z Turyngii jedzie 200 mil aż pod Gdańsk, żeby oddać głos swój na ks. Wolszlegiera i zadowolony ze spełnienia obowiązku wraca do pracy, dla której opuścić musiał strony rodzinne. Trzech robotników z Bremerhaven, dowiedziawszy się, że p. Jaworskiemu w Świeciu brakowało dwóch głosów do absolutnej większości, porzucają korzystny zarobek i wracają do domu na 9 lipca, termin wyborów ponownych. Ci ludzie prości i ubodzy mają taką wiarę głęboką a naiwną, takie żywe poczucie obowiązku, że zdobywają się na prawdziwe poświęcenie, boć dla nich podróż taka to wielka szczerba w skromnym budżecie, a może nawet utrata zarobku. Tego gorliwego zapału, tego przekonania o świętości sprawy, której służą, nie mają pp. posłowie. Dla nich służba obywatelska — to czynność dodatkowa, spełniana od niechcenia, w chwilach wolnych od zajęć i interesów osobistych, które stawiają na pierwszym planie. Różnica w zachowaniu się wyborców i posłów odpowiada zupełnie różnicy roli społecznej szlachty i ludu i stosunku tych dwóch warstw do sprawy narodowej.

Wielkie znaczenie nadaje *Nowoje Wremia*, a wraz z niem część prasy rosyjskiej zmianie formalnej w stosunku rządu rosyjskiego do kuryi rzymskiej. Dotychczas duchowieństwo katolickie w Rosyi porozumiewało się z Rzymem za pośrednictwem ministra spraw zewnętrznych, w praktyce, jak twierdzi *Nowoje Wremia*, wynikał ztąd cały szereg nieporozumień, bo kwestye wewnętrzne nabierały znaczenia międzynarodowego. »Obecnie — powiada dziennik rosyjski — anomalia ta została usuniętą«, pośrednictwo ministra spraw zewnętrznych będzie w przyszłości zbytecznem, nawet wyrażenie »dwór rzymski« zastąpiono wyrażeniem »kurya rzymska«. Treść zmiany polega na tem, że stosunek katolików poddanych rosyjskich z Watykanem traktowany będzie nadal jako kwestya wewnętrzna a nie zaś jako sprawa charakteru międzynarodowego i że bulle, encykliki i wszelkie wydawane przez rząd papieski akty mogą obowiązywać w Rosyi wtedy tylko, kiedy otrzymają sankcyę najwyższą«.

Myli się dziennik rosyjski, przypisując tej zmianie ważne znaczenie praktyczne. Dla duchowieństwa i wogóle dla katolików jest rzeczą obojętną, który minister spraw zewnętrznych czy wewnętrznych, będzie stosunki z Rzymem kontrolował. Ale *Nowoje Wremia* ma, zdaje się, słuszność nazywając tę zmianę, pierwszym krokiem na drodze ustępstw, przyrzeczonych przez kuryę rządowi rosyjskiemu i twierdząc, że bez zgody Rzymu zmiana nastąpić nie mogła i że świadczy ona o usposobieniu pojednawczem Watykanu względem Rosyi, «co prawdopodobnie nie pozostanie bez wpływu i na polskich marzycieli politycznych.» *Warszawskij Dniewnik* przypomina koledze petersburskiemu, że już dawniej Leon XIII «okazał — skłonność do pojednawczego sposobu postępowania z Rosyą« i na dowód tego przytacza encyklikę do biskupów polskich. Przy tej sposobności wyraża *Dniewnik* nadzieję, że «interesy ogólno-państwowe nie będą składane na ofiarę bagatelom regulaminu kościelnego.»

Do tych «bagateli regulaminu» zalicza z pewnością rząd wprowadzenie języka rosyjskiego do kościoła. Wła-

dze rosyjskie ponowiły nacisk na duchowieństwo, skorzystawszy z manifestu koronacyjnego. W Warszawie komisarze policyjni nalegali na proboszczów, żeby dokument ten odczytali w kościele koniecznie po rosyjsku, bo takie jest życzenie władzy wyższej. Naturalnie księża odpowiadali, że nie mogą tego uczynić, że mają swoją władzę, której słuchać muszą. Na prowincyi działo się to samo.

Korespondent warszawski *Dziennika poznańskiego* twierdzi, że rząd gotów jest zamknąć seminarya w Królestwie, bo zdaniem jego biskupi nie poddadzą się uchwale rady państwa, zaprowadzającej uciążliwą kontrolę rządową i wzmacniającej wykład języka rosyjskiego.» — Czego zrobić nie śmiał srogi Hurko, na to odważa się ugrzeczniony Szuwałow przy pomocy słodko śpiewającego Petrowa. Od początku roku b eżącego sankcyą swego prawnego porządku i zarazem środek nacisku na duchowieństwo znajduje naczelna władza Królestwa Polskiego w wstrzymywaniu wszelkich nominacyi nowo wyświęconych kapłanów. W żadnej z siedmiu dyecezyi Królestwa Polskiego ani jeden wikaryat nie został obsadzony po Nowym Roku. Biskupi wyświęcają, lecz nie mogą w myśl postanowień soboru trydenckiego dawać oficyów i beneficyów, bo im rząd rosyjski, oparty na ustawie z dnia 14 (26) grudnia 1865 r., na to nie pozwala. Pora wytchnienia dla alumnów będzie porą ciężkich znojów dla biskupów i ich konsystorzy. W metodzie rządu rosyjskiego leży osaczanie groźbami aż do zupełnego znużenia przeciwnika. Wiadomo, że biskupi przetrwali już jedną taką nagankę, odpowiadając memoryałami, które nie pozostawiały rządowi rosyjskiemu żadnej wątpliwości, że tego, czego od nich wymaga, jako zarządcy kościoła, uczynić nie mają prawa.»

Obecnie prasa rosyjska sądzi, że dzięki pojednawczemu usposobieniu kuryi uda się rządowi »odpolszczyć« katolicyzm. Zawiodą ich niewątpliwie zbyt wygórowane nadzieje, a znana zręczność dyplomatów watykańskich, unikających w tego rodzaju sprawach wszelkich kroków stanowczych, pozwala przypuszczać, że kurya ustępstw poważnych wymaganiom rządu rosyjskiego nie zrobi. Widocznie jednak sfery rządowe mają jakieś nadzieje, oparte na przyrzeczeniach mniej lub więcej określonych. Trzeba więc i nam przewidywać możliwość zmian niepożądanych w stosunkach kościelnych. Powodu do alarmu nie ma, ale nie zawadzi przygotować się zawczasu do niebezpieczeństwa, które nam grozi i pomyśleć o odpowiednich środkach przeciwdziałania.

W takiej chwili, kiedy stosunek kuryi do Rosyi budzi — nie podejrzenia, bo do tych niema powodu, lecz obawy, czy polityka pojednawcza nie zaszkodzi naszym interesom narodowym, wiec katolicki, obradujący we Lwowie, wysyła do Watykanu telegram, w którym cześć dla stolicy świętej przekracza miarę właściwą. Było to rzeczą naturalną, że wiec katolicki wysłał telegram z wyrażeniem swych uczuć i z prośbą o błogosławieństwo papieskie. Ale wzmianka o konieczności przywrócenia władzy świeckiej papieża, jest niepotrzebną i niewłaściwą, bo obraża poczucie narodowe ludu włoskiego, jedynego bodaj w Europie, który stale okazywał nam i sprawie naszej współczucie. Skarżymy się często, że utraciliśmy sympatye w Europie i przypisujemy to zobojętnienie samolubstwu innych narodów, które korzą się tylko przed siłą, a lekceważą słabych i nieszczęśliwych. Ale czy przed pięćdziesięcioma laty, kiedy imię polskie w całej Europie było popularnem, byliśmy silniejsi, niż dziś, a wrogowie nasi słabsi? Sami jesteśmy głównie winni temu, że nas nie lubią. Sprawiliśmy to swojem postępowaniem niewłaściwem, brakiem taktu w stosunkach międzynarodowych, solidaryzowaniem się z objawami wstecznictwa. Naród włoski, jeżeli zwróci uwagę na telegram włoski, odpowie zapewne na tę nieprzyzwoitą zaczepkę milczeniem wzgardliwem, ale w duszy jego zakorzeni się uczucie nieprzyjaene dla nas. Ustęp telegramu o władzy świeckiej papieża był pomysłem kilku zaślepionych gorliwców i z pewnością ogromną większość obecnych na wiecu szczerych katolików sprawa ta nie obchodzi wcale. Nie protestowali przeciw treści telegramu, bo nikt im niewłaściwości tych kilku wyrazów nie wskazał, bo nie zastanowili się nad ich znaczeniem i wrażeniem, jakie wywołać mogą. Konieczność władzy świeckiej papieża nie jest wcale zasadą, obowiązującą katolików prawowiernych. Są pisarze szczerze katoliccy, nawet duchowni, którzy przeciw niej się oświadczali, a jeżeli wielu z nich nie wypowiada głośno przekonania swego, to jedynie przez uszanowanie dla najwyższej władzy kościelnej, w tej sprawie mającej zdanie odmienne. Kiedy przed dwudziestu laty wysyłano z Warszawy adres do rady miejskiej Rzymu z podziękowaniem za umieszczenie popiersia Mickiewicza na Kapitolu, dokument ten, w którym wyrażono »żywe współczucie zjednoczeniu Włoch wyzwolonych«, podpisało kilku księży, zajmujących wyższe stanowiska w hierarchii duchownej. Zresztą, gdyby nawet katolicy polscy uważali za potrzebne przywrócenie władzy świeckiej papieża, to wiadomo przecie, że nic dla tej sprawy zrobić nie mogą, nie było więc żadnego powodu wyrażenia tego rodzaju życzeń, obrażających naród włoski. Tymbardziej można się było obyć bez takiego objawu gorliwości, że nie jest on szczerym i autorowie telegramu — jakiś komiczny szambelan papieski i jezuita ks. Jackowski — wprowadzili w błąd Watykan, wyrażając w imieniu katolików polskich przekonanie, którego większość ich nie podziela.

Sądząc z przebiegu obrad i przyjętych uchwał, nie odpowiedział wiec lwowski nadziejom jego kierowników i inicyatorów. Zgromadzenie było liczne, zabierali głos mówcy znani, referaty i rozprawy mogły wzbudzić zajęcie, ale nie uchwalono na wiecu żadnego postanowienia, mającego istotną doniosłość praktyczną. Była to właściwie na wielką skalę urządzona manifestacya katolicka. *Słowo polskie* słusznie zaznacza, że brakowało referatu, zdawało by się, koniecznego na wiecu katolickim i polskim — o stosunkach kościelnych w zaborze rosyjskim. Pominięto tę sprawę dla tego zapewne, żeby nie obrażać rządu rosyjskiego, chociaż trudno zrozumieć względy polityczne, które nakazują poniżającą uprzejmość dla wrogów, a pozwalają ubliżać przyjaciołom.

Wątpimy, czy wiec katolicko-polski w Stanach Zjednoczonych, zwołany na 22. września, da rezultaty lepsze. Pomysł zwołania takiego kongresu był w zasadzie dobrym i pożytecznym, gdyby go należycie wykonano. Ale inicyatorowie sprawy puścili wodze niechęciom osobistym i wiecowi nadali charakter stronniczy. Oto co pisze o tem p. Modest Maryański, człowiek poważny i zasłużony a katolik gorliwy, który niedawno powrócił z kraju do Ameryki:

»Byłem przytomny przyjściu na świat tej pięknej i tyle korzyści moralnych i materyalnych przynieść mogącej w skutkach swych idei zwołania w roku bieżącym kongresu polsko-katolickiego, który, jak sama nazwa jego wskazuje, miał być polskim i katolickim, *który skupić miał* i do rady i narady nad przyszłością i losem społeczeństwa naszego polsko-amerykańskiego

*

miał i *był powinien powołać wszystkich Polaków katolików*, bez względu na to, czy oni do tego lub owego obozu należeli.

»Ale widocznie ani roztropnością, ani zaparciem się swego »ja«, ani miłością chrześciańską nie kierowali się ci, którzy sprawę, należącą do całego ogółu polsko-amerykańskiego, w swoje ręce ująwszy, w samym zarodku ją zwichnęli.

»Po czteromiesięcznym pobycie w kraju i Europie, cóż za powrotem moim do Ameryki widzę? Otóż najwyższe zniechęcenie i upadek ducha pomiędzy tymi właśnie, którzy inicyatywę do zwołania kongresu polsko-katolickiego dali, odsądzenie od prawa wzięcia udziału w kongresie reprezentantów polskiej prasy katolickiej, odsądzenie od udziału Polaków katolików, co do wielkiej organizacyi Związku Narodowego Polskiego należą; znajduję w samym obozie polsko-katolickim niezgodę, nienawiść i nowo tworzący się podział na Wschód i Zachód«.

P. Maryański zaznacza, że lud polski w Ameryce zrobił wszystko, co do niego należało, pobudował kościoły i szkoły, hojnie uposażył księży i ma prawo wymagać, żeby duchowieństwo świeciło mu przykładem, żeby w łonie swem »wytępiło kąkol i chwasty, które nam ujmę, szkodę moralną i hańbę przynoszą«.

Głównem zadaniem wiecu powinno być uregulowanie opłakanych stosunków kościelnych w koloniach polskich, ale właśnie ci księża, którzy sobie tego nie życzą, wzięli sprawę w swoje ręce i tak ją umyślnie poprowadzili, żeby uniemożliwić wszelką naprawę. Z oburzeniem stwierdza ten fakt p. Maryański i dochodzi do wniosku, że tylko biskup Polak mógłby jeszcze złemu zaradzić, duchowieństwo bowiem, samopas puszczone, prowadzi lud na bezdroża i swojem postępowaniem nagannem szkodzi zarówno sprawie polskiej, jak i religii katolickiej. *J. L. Jastrzębiec.*

Z ZABORU ROSYJSKIEGO.

Warszawa 6 lipca.

Krótkowzroczność polityczna. Aresztowania. Kościół polski, rząd i kurya rzymska. Mgr. Agliardi. O co chodzi rządowi? Język rosyjski w kościele katolickim. Najnowsze układy w Watykanie.

Społeczeństwo nasze, tu w zaborze rosyjskim, przy wielu niezaprzeczonych zaletach ma jedną kardynalną wadę, do której zresztą każdy z nas się przyznaje. Wiemy to dobrze, iż nie mamy żadnego wyrobienia politycznego, żadnej przezorności w sprawach dotyczących naszego, nader trudnego położenia. Pod względem krótkowzroczności politycznej nikt nam chyba nie dorówna.

Zastanawiając się nad źródłem tej tak nieszczęśliwej w naszych warunkach wady, wskazujemy zwykle na stan naszej prasy, która, skrępowana więzami cenzury, nie może dawać materyału, na którym zmysł polityczny się kształci, nie może mówić o tem, co stanowi najistotniejszą treść naszego życia. Jest to opinia całkiem słuszna: zarówno brak wolnej prasy, jak wogóle brak życia publicznego, musi powstrzymywać rozwój myśli politycznej, obok tego atoli istnieje jeszcze przyczyna, na którą wogóle nie zwracamy uwagi, a która na myśl naszą ogromny wpływ wywiera.

Do tego, ażeby prawidłowo i trzeźwo myśleć, żeby widzieć rzeczy należycie i znać ich właściwą miarę, potrzebny jest pewien spokój, pewien stan nerwów, wolnych od gwałtownych pobudzeń. Otóż nam tego brakuje. Każdy niemal dzień u nas przynosi fakty, drażniące, irytujące, poruszające ludzką istotę do głębi, odrywające umysł od szerszych zagadnień. Jesteśmy w położeniu człowieka, który probuje skupić myśl i pracować nią należycie, ale co chwila ktoś go szarpie, kole, męczy wszelkimi sposobami, przerywając wątek jego myśli.

Nasze położenie polityczne wytwarza mnóstwo kwestyi pierwszorzędnej wagi, nader zawikłanych, wymagających porządnej pracy myślowej i jasności sądu. Ale dzięki biegowi naszego życia, zamiast myśleć i mówić o tych kwestyach, uwaga nasza zaczepia przedewszystkiem o to, co działa nader silnie na zakończenia nerwowe i na porządek dzienny wchodzi przedewszystkiem jakiś gwałt, jakaś nikczemność przedstawicieli władzy, jakiś nowy zamach na nasze prawa. Tam zamknięto kościół, ówdzie zesłano księdza, gdzieindziej dopuszczono się nowej podłości w szkole, tu znów działalność cenzury zaznacza się nowym oburzającym faktem i t. d, i t. d. Bez końca powtarza się to samo — tylko pomysłowość rosyjska pracuje nad tem, żeby każdy nowy skandal był bardziej oburzający od poprzedniego.

Ostatnimi czasy uwaga ogółu była np. zajęta aresztowaniami. Nie są one u nas rzeczą nadzwyczajną, ale tym razem takie fakty, jak zamknięcie zasłużonego pracownika na niwie literackiej, Chmielowskiego, lub dwóch dziesiątków z górą dzieciaków w Lublinie, nie mogły nie poruszyć całego myślącego i czującego ogółu, tem bardziej, że jednocześnie przypadła cała masa innych aresztowań lub rewizyi domowych. Wszędzie mówiono tylko o aresztowaniach, o nieludzkiem postępowaniu żandarmów... Czyż w takich warunkach może być mowa o spokojnem i rozważnem traktowaniu szerszych spraw politycznych? Zajęci tem, co bezpośrednio dotyka naszej skóry i naszych zakończeń nerwowych, upuszczamy z uwagi sprawy mające pierwszorzędne znaczenie, sprawy, które dziś się rozstrzygają i których przebieg wywrzeć może na całą naszą przyszłość wpływ ogromny.

Do takich spraw bezwątpienia należy sprawa kościelna w naszej dzielnicy w stosunku jej do najnowszych dążności rządu rosyjskiego.

Rząd rosyjski w stosunku swym do kościoła katolickiego widzi dwa zadania: popierwsze, jak najbardziej osłabić katolicyzm na rzecz prawosławia, powtóre odebrać mu, o ile można, charakter polski i wprowadzić do kościoła naszego jak najwięcej moskiewszczyzny. Pierwsze robi się zwykłymi środkami administracyjnymi: zamyka się kościoły, burzy się krzyże, przymusowo się odrywa wiernych od naszego kościoła, propaguje się prawosławie bagnetem, nahajką, więzieniem, zesłaniem, no i... broszurami. Do drugiego atoli te środki nie wystarczają. Kościół rzymski w państwie carów ma swą autonomię, gdyż ona wszędzie jest zasadniczem jego prawem. Mając swą głowę nazewnątrz państwa, nie może on być bezwzględnie rządom tego państwa uległym. Do działania wewnątrz kościoła nie wystarcza żandarm i policyant — tu potrzebna jest dyplomacya i tu zaczynają się zabiegi pp. Izwolskich w Watykanie, a warszawskich »czynowników« u naszego episkopatu.

Od czasu śmierci Aleksandra III duchowieństwo nasze w Kongresówce, poczynając od arcybiskupa, a kończąc na proboszczach, musi wytrzymywać ataki przedstawicieli rządu, usiłujących wprowadzić do naszego kościoła język rosyjski przy czytaniu carskich manifestów. Znaną jest dobrze wszystkim historya pierwszego manifestu Mikołaja II, w której natarczywość władz, uległość jednej części duchowieństwa, a oporność innej wytworzyły nader przykre położenie, chwilowo graniczące z anarchią wewnątrz naszej hierarchii kościelnej. Obecnie, podczas koronacyi carskiej usiłowaniem władz miejscowych było powtórzyć tę samą historyę, jeżeli zaś wszystko dobrze się skończyło, to tylko

dlatego, że duchowieństwo, nauczone doświadczeniem, stanowczo się oparło uroszczeniom hr. Szuwałowa i jego pomocników, i manifest wszędzie odczytano po polsku.

W podobnych warunkach byłoby rzeczą niezmiernie ważną utrzymanie ciągłych i ścisłych stosunków ze Stolicą Apostolską, która powinna być dokładnie informowana o położeniu rzeczy w kraju, ażeby wobec dyplomatycznych zabiegów Rosyi przy Watykanie, kraj nasz był uchroniony od możliwych błędów ze strony kuryi. Stosunki te atoli są niezmiernie utrudnione. Pomiędzy naszą hierarchią a Watykanem stoi rząd rosyjski, przez którego kancelarye przechodzi wszelka korespondencya biskupów ze stolicą Apostolską. Wobec tego przejazd nuncyusza papieskiego na koronacyę mógł mieć pewne znaczenie, umożliwiał bowiem przedstawicielowi Watykanu poznanie naszych stosunków na gruncie.

Zrozumiałą też jest przezorność władz rosyjskich, które tak zręcznie urządziły przejazd mgr. Agliardiego na koronacyę, że ten nie miał możności widzieć się w Warszawie z przedstawicielami duchowieństwa i przepędził zaledwie chwilę na dworcu kolei z biskupem sufraganem warszawskim. Duchowieństwo warszawskie zostało poprostu oszukane przez władzę co do chwili przejazdu dostojnika kościelnego i dowiedziało się o nim wtedy dopiero, gdy już nuncyusz opuścił Warszawę i podążał ku Moskwie. Dopiero za powrotem mógł mgr. Agliardi zatrzymać się dłużej w Warszawie, narażony na przyjemność, że obok arcybiskupa witał go uroczyście na dworcu naczelnik żandarmów.

Nie wiadomo dobrze, co arcybiskup cezarejski wiózł w zanadrzu z Moskwy, to tylko jest rzeczą pewną, że wiele osób, które miały sposobność go widzieć, uderzone zostały nieprzyjemnie jego pojednawczem usposobieniem, wobec napastniczej polityki carskiego rządu. Tem bardziej więc niepokoić nas powinny układy watykańskie, ktore się obecnie toczą.

Watykan zrobił już jedno ustępstwo, wprawdzie formalne tylko, ale zasadniczą mające dla Rosyi wartość. Dotychczas stosunki naszego duchowieństwa z kuryą rzymską traktowane były przez rząd rosyjski, jako sprawy zagraniczne, i wszelkie papiery od biskupów przechodziły najpierw przez ministerstwo spraw wewnętrznych, a następnie przez min. spr. zagranicznych. Obecnie już min. spr. zagranicznych będzie wyjęte z tego koła, ponieważ sprawy te uznane zostały w zasadzie, jako sprawy wewnętrzne Rosyi. Dziś jeszcze nie można przewidzieć, jakie skutki praktyczne może mieć taka zmiana, ale kto wie, czy w bardzo krótkim czasie nie przyjdzie tego ustępstwa mocno żałować.

W dalszych układach, prowadzonych przez p. Izwolskiego, rządowi rosyjskiemu głównie chodzi o język rosyjski w seminaryach duchownych Królestwa i o zmiany w języku dodatkowego nabożeństwa.

Dziś mowy być nie może o zruszczeniu dodatkowego nabożeństwa w Królestwie — zbyt silnie się tu czuje nasza kultura, ażeby rząd mógł o tem marzyć. To też na uroszczenia władzy w sprawie czytania manifestów patrzeć raczej należy, jako na zwykły Moskalom nietakt, drażniący bez potrzeby ludność kraju. Natomiast prawdziwe niebezpieczeństwo przedstawiają usiłowania rusyfikacyi naszego kościoła na Litwie.

Z poważnego bardzo źródła wiem, iż obecnie Rosya domaga się w Watykanie wprowadzenia w dodatkowem nabożeństwie na Litwie... języka białoruskiego. Tu właśnie rodzą się poważne obawy.

Wobec pojednawczego usposobienia kuryi, wobec pozorów słuszności, jakie ma za sobą wprowadzenie do kościoła języka białoruskiego w kraju z ludnością białoruską, można się obawiać smutnego końca tych układów.

Rząd rosyjski białoruskiego języka wogóle nie uznaje, gdy mu to jednak jest potrzebne, gotów jest w danym wypadku odstąpić od swej zasady. My atoli ze swej strony powinniśmy się postarać, ażeby w Rzymie zrozumiano, że katolicy na Litwie są albo Litwinami (ci mają swój język w kościele), albo Polakami, i że Białorusinów katolików jest niezmiernie mało, ponieważ już car Mikołaj I postarał się zrobić ich wszystkich prawosławnymi. Dla rządu rosyjskiego wprowadzenie języka biaroruskiego będzie rzeczą bardzo dogodną. Bo cóż to jest język białoruski? Czy jest to jaki wyrobiony literacki język, ażeby można było go uważać za coś określonego? Będąc zbiorem rozmaitych narzeczy, z których żadne w braku wszelkiej literatury ogólnie nie zapanowało, spokrewniony blisko z rosyjskim i z polskim, zapożyczający wiele od jednego i drugiego, może on być znakomicie użyty jako środek rusyfikacyi. Wynajęci księża tak ślicznie sfabrykują białoruskie książki katolickie, że rodowity Moskal nie znajdzie w nich nic obcego. Zresztą można to zrobić nie odrazu, można powoli wlewać domieszki rosyjskie, rozkładając robotę na lat kilkanaście. Z tem walczyć nie będzie można w braku wszelkiego ustalonego kryteryum do ocenienia, czy się ma do czynienia z czystą białoruszczyzną. Filologów rząd wzywać na ekspertów przecie nie pozwoli.

Jak zresztą można wprowadzić język białoruski do kościoła tam, gdzie w braku Białorusinów-katolików, księża wszyscy są Polakami. Ci sami księża, nie umiejąc po białorusku, mając zakaz mówienia po polsku, a zato znając język rosyjski ze szkół, będą mówili żargonem moskiewskim i dobrowolnie się przyczyniali do rusyfikacyi.

Stoimy tedy wobec nowego zamachu, chytrze obmyślanego. Czas wielki starać się zapobiedz złemu, które niespodzianie przyjść może..

***

Z ZABORU PRUSKIEGO.

Poznań 11 lipca.

Śmierć Franciszka Dobrowolskiego. Jakie znaczenie ma uchwała parlamentu w sprawie komisyi kolonizacyjnej. Wybryki hakatystów.

Śmierć Franciszka Dobrowolskiego, aczkolwiek przewidywana od kilku tygodni, wywarła głębokie wrażenie, bo jest istotnie wypadkiem bardzo ważnym dla naszej dzielnicy. Zmarły był nietylko znanym i zasłużonym dziennikarzem, ale i wybitnym działaczem politycznym i społecznym. Emigrant z Królestwa, gdzie odegrał dosyć ważną rolę w r. 1863, osiadł w r. 1870 w Poznaniu i objął naczelne kierownictwo *Dziennika poznańskiego*. Było to wówczas pismo postępowe i wolnomyślne, które prowadziło walkę zaciętą ze stronnictwem klerykalnem, odznaczającem się w tej dobie lojalizmem pruskim. Wkrótce jednak zaczął się osławiony »kulturkampf«, skierowany nietylko przeciw katolicyzmowi, ale i przeciw narodowości polskiej. Wtedy Dobrowolski jako przedstawiciel stronnictwa postępowego zawarł ugodę z obozem zachowawczym i wspólnie z nim wystąpił do walki. Ten kilkunastoletni kompromis oddziałał niewątpliwie na Dobrowolskiego i kiedy właściwie potrzeba wspólnego działania minęła, *Dziennik poznański* nie umiał już czy nie chciał wyłamać się z krępującej go solidarności, wystąpić śmielej i energiczniej. Jakkolwiek Dobrowolski nie podzielał złudzeń ugodowych, nie zwalczał ich jednak tak stanowczo, jakby należało, a czasem nawet pośrednio politykę tę popierał.

Nie hołdujemy zasadzie *de mortuis nil nisi bene*, ale w kilka chwil po zgonie trudno dokładnie i sprawiedliwie

ocenić działalność zmarłego, wykazać wszystkie jej strony dodatnie i ujemne. Dobrowolski był zbyt wybitnym człowiekiem, żeby w sądzie o nim trzeba było krępować się pobłażliwością, do której tylko miernoty odwoływać się mogą.

W wspomnieniu pośmiertnem podnieść należy jego niezmordowaną gorliwość i energię w pracy publicznej. Był on redaktorem dziennika, sekretarzem a właściwie głównym kierownikiem centralnego komitetu wyborczego, dyrektorem teatru, członkiem zarządów kilku towarzystw. Zarzucali mu przeciwnicy, że jakby zmonopolizował dla siebie działalność publiczną, że nie znosił obok siebie nikogo, że był bezwzględnym w postępowaniu. Zarzuty te w znacznej mierze są słuszne, pamiętać jednak trzeba, że Dobrowolski objął ster pracy obywatelskiej wtedy, kiedy nie wielu chętnych do niej się garnęło, że prowadzić ją musiał niemal sam przez czas długi. Jest zresztą rysem nieodłącznym charakterów czynnych i energicznych pewna wyłączność, chęć ujęcia w swoje ręce wszystkich spraw i osobistego kierowania niemi. Z wiekiem stało się to przyzwyczajeniem, nałogiem, jakby właściwością przyrodzoną. Mówią, że ciężył na życiu naszej dzielnicy, ale żeby ciężyć — trzeba być siłą, a w naszem społeczeństwie siła jest przymiotem bardzo cennym.

Wielką zasługą Dobrowolskiego było wywalczenie należnego w społeczeństwie stanowiska zawodowi dziennikarskiemu. Długiej walki trzeba było, zanim pozwolono zmarłemu uczestniczyć w walnych zebraniach centralnego komitetu wyborczego. Na zebraniach tych bywał urzędnik policyjny pruski, ale dziennikarzy polskich nie chciano dopuścić. Dobrowolski uważał zawód dziennikarski jako pole szerokiej działalności publicznej, był nietylko publicystą, ale i działaczem politycznym w szerszem znaczeniu tego wyrazu

O zmianie, jaką śmierć Dobrowolskiego wywołać musi, byłoby dziś jeszcze zawcześnie pisać, zaznaczę więc tylko, że kierownikiem *Dziennika poznańskiego* na kilka dni przed zgonem nieboszczyka został, za zgodą grona osób, popierających pismo, p. Józef Głębocki, poseł.

Pisma rozprawiają wciąż jeszcze o zwycięstwie parlamentarnem, które udało się wywalczyć posłom naszym. Z artykułu 60 nowego kodeksu wykreślono wyrazy, uprawniające działalność komisyi kolonizacyjnej. *Kuryer poznański*, gorliwie podtrzymujący chwiejące się filary polityki ugodowej, zaszczyt tego zwycięztwa przypisał niesłusznie posłowi Cegielskiemu, *Goniec* zaś wykazał, że zawdzięczać je należy raczej p. Czarlińskiemu, którego wniosek w trzeciem czytaniu kodeksu uchwalono. Wywiązała się z tego powodu polemika, która wiele ciekawych rzeczy wykryła, ale nie wyjaśniła dokładnie najwyraźniejszej: jakie znaczenie praktyczne ma uchwała parlamentu. Bo miłem wprawdzie jest »zwycięztwo moralne«, jak pisma uchwałę parlamentu nazwały, ale ważniejsze są dla nas jej następstwa przewidywane. Dopiero przed paru dniami ks. Jażdżewski wyłuszczył w *Dzienniku poznańskim*, jakie skutki uchwała mieć może i przedstawił przedmiotowo cały przebieg sprawy. Artykuł 60 kodeksu w pierwotnej formie brzmiał: »Pozostają nienaruszone krajowe przepisy prawne co do osad rentowych i nieruchomości ziemskich, urządzonych według prawa pruskiego z d. 26 kwietnia 1886 r. o kolonizacyi niemieckiej«. W komisyi parlamentarnej przeciw takiej redakcyi artykułu, uświęcającej prawo wyjątkowe, przemawiał poseł Dziembowski. Ale ponieważ oświadczył, że mu chodzi tylko o niewymienianie prawa, komisya redakcyjna zmieniła artykuł w ten sposób: »Pozostają nienaruszone przepisy prawno-krajowe dotyczące osad rentowych i miejsc (posiadłości) kolonizacyjnych«. Na posiedzeniu parlamentu, podczas drugiego czytania projektu kodeksu, zażądał p. Cegielski wykreślenia dwóch ostatnich wyrazów, lecz wniosek jego odrzucono. Wtedy członkowie Koła weszli w układy z przewódcami różnych stronnictw i uzyskali przyrzeczenie ich, że będą głosowali za wykreśleniem. W trzeciem czytaniu postawił p. Czarliński odpowiedni wniosek, który pozyskał większość, gdyż oświadczyli się przeciw niemu tylko konserwatyści, narodowo-liberalni i antysemici. Z tego wynika, że żaden poseł zasług szczególnych w tej sprawie nie położył — tak przynajmniej twierdzi ks. Jażdżewski.

Następstwa uchwały ks. Jażdżewski tak streszcza:

1) Od r. 1900, t. j. od chwili wprowadzenia w życie nowego kodeksu prawodawstwo pruskie nie będzie mogło w sprawie kolonizacyi tworzyć nowych ustaw, ani istniejących zmieniać, uzupełniać lub rozszerzać.

2) Przepisy prawa o kolonizacyi, z d. 26 kwietnia 1886 r., o ile stoją w przeciwieństwie do zasad i przepisów nowego kodeksu cywilnego, od chwili jego wprowadzenia w życie tracą moc obowiązującą, jeżeli rząd pruski w drodze prawodawczej nie postara się o uchylenie skutków ostatniej uchwały parlamentu.

Pisma niemieckie, zwłaszcza organy hakatystowskie pod pierwszem wrażeniem uchwały parlamentu, biadać zaczęły, że znosi ona całkowicie prawodawstwo kolonizacyjne. Tak nie jest, bo właściwie artykuł 60 w nowej redakcyi dotyczy tylko przepisów, mających charakter wyjątkowy, ograniczający prawa Polaków. *Germania* twierdzi, że ponieważ kodeks cywilny nie narusza przepisów o włościach rentowych, to w praktyce w ustawie kolonizacyjnej nie wiele co się zmieni. W razie bowiem potrzeby skorzysta rząd z prawa o gospodarstwach rentowych i podciągnie pod nie osady kolonizacyjne. Ani komisya kolonizacyjna nie przestanie istnieć, chociaż będzie cokolwiek w działalności skrępowaną, ani rząd nie zmieni dążeń swych i systemu politycznego, wrogiego Polaków, a co najważniejsza, nie zmienią się warunki ekonomiczne, które dziełu wywłaszczania nas sprzyjają. Słusznie powiada w tej sprawie *Orędownik*, że nadzieje wykupywania ziemi od Niemców, dzięki uchwale parlamentu — są złudzeniem; »zastrzeżenie, że nie wolno Polakowi nabywać parcel od kolonizacyi, ani koloniście sprzedawać parcel Polakowi, straci swe prawne znaczenie, ale przez to nie straci jeszcze znaczenia ekonomicznego w dzielnicach polskich«.

Znaczenie uchwały parlamentu w prasie naszej przeceniano, ale dziwić się temu nie można, przyzwyczailiśmy się do ciągłych porażek, więc nawet drobne zwycięztwo wydaje nam się faktem doniosłym. W każdym razie zwyciężyliśmy, a to otuchy dodaje, chociażby rezultaty były wątpliwe.

Codziennie prawie zaznaczają pisma nasze różne wybryki hakatystów. W Inowrocławiu jeden z nich, spotkawszy łódkę, na której było towarzystwo polskie, wyraził głośno ubolewanie, że niema pod ręką bomby, bo chciałby *„diese Gesellschaft“* w powietrze wysadzić. Takie zachowanie się Niemców doprowadzić może w końcu zniecierpliwioną ludność polską do niepożądanej awantury. Hakatyści stają się coraz zuchwalsi, bo władze na każdym kroku im ulegają. W Gnieznie narobili hałasu, że kapela wojskowa przygrywała Sokołom i władza zabroniła jej brania udziału w zabawach towarzystw polskich. O ks. Szadzińskim wciąż rozpisują się dzienniki hakatystowskie, dowodzą teraz, że ojciec jego był Niemcem i nazywał się Schade — jeden powód więcej, żeby księdza z probostwa usunąć. Polaków, wybranych na urzędy miejskie, władza często nie zatwierdza, poddając się żądaniom hakatystów. Słowem, prywatne to stowarzyszenie staje się potęgą, z którą rząd się liczy, i której zwykle ulega.

J. M.

Z Prus Zachodnich 10 lipca.

Sprawy wyborcze. Nadużycia. Śpiew polski w Gdańsku.

Ściślejsze wybory pomiędzy Jaworskim a Holtzem już się odbyły, ale rezultat dopiero za parę dni będzie wiadomy, bo liczenie głosów odbywa się powoli Niemcy, przynajmniej w miastach stawili się liczniej, niż przy pierwszych wyborach 25 czerwca. W Świecie np. oddało kartki teraz 360 Polaków i 356 Niemców, a poprzednio było głosów polskich 318, niemieckich 295, w Podgórzu otrzymał obecnie Jaworski 74 głosy, Holtz 71, poprzednio zaś pierwszy 60, drugi 55. Niemcy wytężyli wszystkie siły i jeżeli w polskich okręgach liczba głosów nie wzrośnie, kandydat ich przejść może. Właściwie p. Jaworski został już 25. prawnie wybrany. Brakowało mu wprawdzie, według obliczenia urzędowego, 2 głosów (otrzymał 4613, Holtz 4598, inni kandydaci 17), ale wiele głosów polskich niesłusznie unieważniono. Odrzucono np. kartki, na których nazwisko kandydata naszego napisano »Sass von Jaworski« zamiast »von Sass Jaworski«, chociaż drugiego Jaworskiego w Lipienkach niema. Zapóźno spostrzegli się nasi, że trzeba było żądać uznania ważności wyboru i odwołać się do parlamentu. Niemcy dopuszczali się wielu nadużyć. Wyraźny jest przepis prawa, że jeżeli unieważnienie nastąpiło więcej niż w rok po wyborze, do nowego wyboru powinny być ułożone nowe listy. Tymczasem wybory odbywały się według starych list i wielu Polaków do głosowania niedopuszczono, tych mianowicie, którzy się do innych gmin przesiedlili. Niemcom zaś, którzy byli w takiem samem położeniu, poradzono, żeby się przed wyborami przemeldowali do tych gmin, w których podczas układania list byli zapisani. Teraz i nasi skorzystali z tej nauki, ale przy przemeldowywaniu się robią im władze rozmaite trudności.

Wogóle udział w wyborach ostatnich nie był tak liczny, jak dawniej. Przed trzema laty oddano na obu kandydatów około 12.000 głosów, teraz tylko 9200. Pochodzi to ztąd, że wielu naszych wywędrowało na roboty, Niemcy zaś widocznie mniej są gorliwi. A może dawniej więcej Polaków dawało głosy kandydatowi niemieckiemu, bo miał ich z górą 6000. Dzienniki niemieckie, zwłaszcza *Gesclliger* oburzały się strasznie po wyborach na obojętność Niemców i zuchwalstwo Polaków. Twierdzą one, że komitet polski wydał 18.000 marek na sprowadzanie wyborców z różnych okolic Niemiec. Ba, gdybyśmy mieli takie fundusze na agitacyę wyborczą! Więcej nas kosztowały wybory, ale nie z kasy komitetu, z kieszeni wyborców wyłożyliśmy na nie znaczne sumy. Ile to dni zmarnowanych, ile mitręgi, ile wydatków. Udział w wyborach jest dla naszej ludności wielką ofiarą, którą składa na ołtarzu sprawy publicznej. A dodać trzeba, że czasem poświęcenie to drogo kosztuje, bo robotnicy np. i słudzy tracą zarobki i posady. *Gazeta gdańska* ogłasza, że ma 10 miejsc dla ludzi, którzy z powodu wyborów zarobek utracili, ale takich przynajmniej w dwójnasób się znajdzie.

Jeżeli teraz Holtz zostanie wybrany, to parlament z pewnością znowu wybór jego unieważni z powodu opisanych wyżej nadużyć. Mogą więc być trzecie i czwarte wybory w tym roku. Niemcy, zdaje się, na to liczą, spodziewając się, że w końcu naszym i wytrwałości i środków zabraknie. Mamy jednak nadzieję, że gdyby istotnie wyborcom świeckim nad ich siły było ciężko, całe społeczeństwo polskie w zaborze pruskim braterską pomoc im okaże.

Zasługuje na uznanie gorliwa praca redaktorów pism polskich, zwłaszcza *Gazety grudziądzkiej* i *gdańskiej*. Pp. Kulerski, Milski, Palędzki, Rutkowski, Brejski jeździli na wiece, wygłaszali mowy, objaśniali ustawę wyborczą, dawali wskazówki i rady. Pamiętać zaś trzeba, że są to ludzie niezamożni i pracują zupełnie bezinteresownie.

Równie wątpliwy zdawał się wybór ks. Wolszlegiera na posła do sejmu z okręgu starogardzko-tczewsko-kościerzyńskiego. Uzyskał jednak nasz kandydat 236 głosów, t. j. 4 więcej, niż jego przeciwnik. Decydował o wyborze powiat starogardzki, gdzie na ks. Wolszlegiera padło 122 głosy, na Niemca 55. Kiedy komisarz ogłosił rezultat wyborów, Niemcy, którzy byli prawie pewni zwycięztwa, bo w powiatach kościerzyńskim i tczewskim zdobył ich kandydat większość głosów — zaczęli wynosić się po cichu. Wtedy jeden z wyborców polskich umyślnie wzniósł okrzyk na cześć cesarza, który strapieni Niemcy musieli powtórzyć.

Tylko dzięki wysiłkom gorliwości wyborców przeszedł ks. Wolszlegier. Marcin Andrearczyk z Osieczny, który był na robocie w Grimsleben pod Naimburgiem nad Saalą, przybył umyślnie na wybory z odległości 200 mil. Natomiast dwaj nauczyciele Polacy, Pawłowski i Felski, przez Polaków wybrani, głosowali na Niemca. Na t. zw. »walmanów«, (wybory do sejmu są pośrednie) nigdy nie trzeba wybierać ludzi zależnych od rządu, a zwłaszcza nauczycieli, którzy są lękliwi i pokorniejsi od innych.

Okręg starogardzko-tczewsko-kościerzyński wybiera do sejmu dwóch posłów: jednym będzie ks. Wolszlegier, drugim jest poprzednio wybrany Niemiec. Oddawna już posłowali z okręgu tego Niemcy, teraz zaś jest nadzieja, że na przyszłych wyborach przejdą dwaj Polacy. Ruch narodowy w Prusiech zachodnich rozwija się coraz lepiej w ciągu kilku lat ostatnich. Jest to wymowny dowód żywotności ludu, bo warunki są bardzo trudne. Szlachty i inteligencyi świeckiej mamy bardzo niewiele, duchowieństwo, ulegając radom i rozkazom swej zwierzchności odsuwa się od udziału w pracy narodowej, a nawet niekiedy staje się powolnem narzędziem germanizacyi, a Niemcy wytężają tu wszystkie siły, żeby żywioł polski zgnębić i jeszcze mniej niż w Księstwie krępują się prawem i sprawiedliwością

Wielce znamiennem jest zachowanie się duchowieństwa w sprawie nabożeństw polskich w Gdańsku, o której już dawniej pisałem. Biskup zezwolił na kazania i wogóle na nabożeństwo polskie. Umyślnie wyznaczono dla kazań w kościele św. Mikołaja godzinę niewłaściwą, nie zawiadomiono o tem Polaków, mimo to mnóstwo ludu naszego gromadzi się co niedzieli. Podczas mszy muszą Polacy słuchać pieśni niemieckich, bo na śpiew polski za nic w świecie księża nie pozwalają, chociaż biskup się zgodził. Musi więc jechać znowu deputacya do Pełplina, a przy sposobności poruszy tam zapewne sprawę uczenia dzieci religii w języku ojczystym. Pierwszej deputacyi nie dał biskup stanowczej odpowiedzi, przyrzekł tylko, że stosunki gdańskie zbada i potem dopiero odpowiednie postanowienie wyda. Długo na spełnienie tej obietnicy czekamy, a Gdańszczanie tak się zawzięli, że jeżeli w sprawie śpiewu polskiego przychylnej rezolucyi nie otrzymają, to wyszlą deputacyę do Rzymu.

M. Wil...i.

Z GALICYI.

Lwów 13. lipca.

Zlot Sokołów. Kółka rolnicze. „Szkoła ludowa." Wiec katolicki. Autonomia i komisarz rządowy. Centralny komitet przedwyborczy.

Cztery większe zjazdy odbyły się w dwóch ubiegłych tygodniach kolejno w Krakowie, Rzeszowie, Przemyślu i Lwowie. Trzem pierwszym przyświecała wspólna myśl demokratyczno narodowa, wykazująca się chlubnemi postę-

pami w rozmaitych dziedzinach pracy społecznej, ostatni miał cechę wyznaniową, silnie zabarwioną konserwatyzmem. Każdemu z tych zjazdów po kilka słów poświęcę.

Wspaniały zlot Sokołów, którego widownią tym razem był stary gród podwawelski, dowiódł naocznie, że lekceważona dawniej przez ogół, a i dziś jeszcze w pewnych sferach »niemile widziana« idea uzdrawiania ducha przez wyrabianie i krzepienie sił fizycznych, rozrasta się w społeczeństwie naszem potężnie. Z wszystkich prawie »gniazd« galicyjskich stawiły się liczne drużyny, a szczególny urok nadawała zlotowi obecność gości czeskich i dzielnych braci z Śląska i Wielkopolski. Obfity program obchodu wykonano z iście sokolską ścisłością i dokładnością. Uroczysty pochód karnych szeregów przez miasto, poświęcenie sztandaru Związkowego w odnowionym kościele Maryackim, hołd złożony Krakowowi w Rynku przy pamiątkowym kamieniu Kościuszki, uczczenie popiołów nieśmiertelnego Naczelnika na Wawelu, te wszystkie szczegóły splotły się w wieniec przepięknych wrażeń, które wstrząsały do głębi i zapewne nie rychło ulecą z pamięci uczestników. Szczery zapał i podziw potęgował się w czasie dwudniowych popisów i igrzysk na olbrzymiem boisku za miastem u stóp kopca Kościuszki. Był to istotnie kulminacyjny punkt zlotu. Na widok tych mnogich zastępów, olśniewających zdrowiem i siłą, którym zda się igraszką pokonywanie największych przeszkód fizycznych, serca mimowoli wzbierały uczuciem szlachetnej radości i dumy. Nie potrzeba koniecznie unosić się pustą egzaltacyą, która w Sokołach pragnie wskrzeszać nadludzkie postacie legendowych olbrzymów, dość spojrzeć bez uprzedzenia na dotychczasowy plon pracy, walczącej skutecznie z cielesną niemocą i skarleniem, aby ocenić i uznać ogromną doniosłość Sokolstwa z ogólno narodowego stanowiska. Kosmopolityczna pierwotnie zasada »W zdrowem ciele silny duch«, na polski grunt przeszczepiona, przyjęła się, unarodowiła niejako i uszlachetniona dewizą »Czołem Ojczyźnie, a szponem wrogowi« oddała się w wierną służbę najszczerszym, patryotycznym dążeniom.

Jedna tylko nuta fałszywa brzmiała przez cały czas uroczystości zlotowych: było nią dziwnie oziębłe zachowanie się mieszkańców Krakowa, chłód, z jakim witano i przyjmowano uczestników zjazdu, szczególnie zaś druhów przybyłych z zaboru pruskiego, żądnych serdecznego uścisku dłoni, łaknących gorętszego słowa. Nie znalazłszy tego wszystkiego i sami sobie od początku do końca pozostawieni, Ślązacy i Wielkopolanie wywieźli ze zlotu gorycz przykrego żalu i rozczarowania. Obojętność Krakowian dla całego w ogóle zlotu okazana, wywołała dość trafną, acz złośliwą uwagę, że »Kraków umie urządzać tylko wspaniałe pogrzeby.« Nie świadczy to zaszczytnie o patryotyzmie grodu. Jako miejsce przyszłego zlotu Sokołów wybrano Stanisławów.

W Rzeszowie doroczny zjazd delegatów »Kółek rolniczych« obradował nad stopniowem doskonaleniem Towarzystwa, które w ciągu czternastoletniego istnienia potrafiło zwalczyć dawniejsze przesądy i rzetelną pracą może dziś śmiało w znacznej mierze sobie przypisać zasługę, że tysiące włościan wydobywają się powoli z lichwy i leczą z nałogów, przywykają do umiejętnego chodzenia koło bydła i roli, że rozumieją potrzebę maszyn rolniczych i sztucznych nawozów, że wreszcie wyrabiają w sobie powoli praktyczny zmysł handlowy i środkami samopomocy dźwigają się z ekonomicznego upadku. Postępy »Kółek rolniczych« są, jak na stosunki galicyjskie, wprost zdumiewające. Z końcem roku 1895 było w kraju ogółem 1081 Kółek, obecnie jest ich już przeszło tysiąc sto. Wszystkie razem liczą z górą 51000 członków. Dziesiątki tysięcy dziełek ludowych mieści się w ich czytelniach, każda odbiera nadto peryodyczne pisemka, niektórym i takie już nie wystarczają, więc prenumerują dzienniki. Przez lat czternaście, jak Towarzystwo istnieje, za pośrednictwem Zarządu głównego sprowadziły dla siebie »Kółka« nasion pastewnych, zbożowych i ogrodowych za łączną sumę 110.000 zł., maszyn i narzędzi rolniczych za 26.000 zł., sztucznych nawozów za 93.000 zł. Lustratorowie, płatni z urzędu, rokrocznie objeżdżają »Kółka«, działalność ich kontrolują, popularnemi wykładami uczą, podają wskazówki i rady. Wiele »Kółek« posiada swe własne kasy pożyczkowe, niektóre systemu Raiffeisena. Członkowie czerpią w nich tani kredyt, niema zaś wypadku, żeby go nadużyto. W ostatnich czasach spopularyzowała się również bardzo silnie sprawa »sklepików wiejskich.« Z każdem prawie nowem »Kółkiem« równocześnie powstaje i sklepik, dla zaopatrywania członków na miejscu we wszelkie artykuły potrzeb domowych i gospodarskich. Ogółem jest dotąd w Galicyi przeszło 600 takich sklepików, z których każdy przynosi zyski, a niejeden obraca kilkunastu i kilkudziesięciu tysiącami zł. rocznie. Szybkie rozmnożenie się sklepików wywołało z czasem konieczność stworzenia dla nich szerszej handlowej organizacyi. W tym celu powstały przed kilku laty w Krakowie, a zeszłego roku we Lwowie, »Związki handlowe Kółek rolniczych«, które nabywając przeróżne towary masami bezpośrednio w fabrykach lub na miejscu produkcyi, mogą ich dostarczać sklepikom taniej i w stosunkowo lepszym gatunku. Uznano również potrzebę odpowiedniego przygotowania »sklepikarzy«, i zorganizowano dla nich specyalne kursy handlowe, które rozpoczęły się już pod okiem ludzi fachowo w kupieckim zawodzie wykształconych Powyższe szczegóły i cyfry dają do pewnego stopnia wyobrażenie o raźnych postępach gospodarczej asocyacyi w naszym ludzie wiejskim. Postępy te stopniowo zwiększać się będą, dopóki Towarzystwo nie sprzeniewierzy się istotnym swoim, ekonomiczno- kulturalnym celom.

Delegatów Towarzystwa »Szkoły ludowej« gościł w tym roku Przemyśl. Zjazd był wcale liczny. Zgodnie z wnioskiem komisyi, która rozpatrywała sprawozdanie z ubiegłego roku, wyrażono Zarządowi głównemi uznanie za dotychczasową działalność, w szczególności za szybkie przeprowadzenie zmiany statutu i energiczne zajęcie się sprawą szkoły polskiej w Biały. Zarząd główny zapewnił, że wszelkich dołoży starań, aby nauka w tej szkole za rok już rozpocząć się mogła. Naszkicowany w sprawozdaniu obraz ruchu, jaki panował w 55 kołach miejscowych, liczących razem 8145 członków, dodatnie sprawia wrażenie. Dochody Towarzystwa w ubiegłym roku wynosiły zaledwie 30.200 złr., wydatki 27.600. Zjazd powziął między innemi uchwałę, aby zapewnić utrzymanie nauczycielowi języka polskiego w Sadagórze na Bukowinie i utworzył w kwocie 300 zł. zawiązek funduszu budowy szkoły polskiej w tamtych stronach. Przewodniczącym »Szkoły ludowej« ponownie przez aklamacyę obwołano dra Adama Asnyka.

Z wielkim szumem zapowiadany i od dłuższego czasu troskliwie reklamowany wiec katolicki odbył się wreszcie we Lwowie, zawiódł atoli pokładane w nim przez pewną część społeczeństwa i prasy nadzieję, przeminął, nie pozostawiając głębszych śladów za sobą. Przyznają to, choć niezbyt wyraźnie, nawet te organy, które katolicyzm za wyłączną swoją specyalność poczytują. *Czas* nie pomylił się wcale, przepowiadając z góry, że wiec praktycznych skutków nie wywoła. Zdaje nam się, że jedną z głównych tego przyczyn, jest niewłaściwe narzucanie takim wiecom celów i dążeń, które z katolicyzmem nic wspólnego mieć nie powinny. Pierwiastek obłudy, który wszystko na świecie, a więc i religię i wiarę nagiąć pragnie do pewnych wątpli-

wej wartości systemów polityczno - społecznych, zyskuje dzięki sprytowi swemu zazwyczaj przewagę na takich zebraniach, odbiera im cechę szczerości, a bałamucąc naiwnych prostaczków, w umysłach bardziej wyrobionych szerzy niesmak i do pogłębiania życia religijnego wcale się nie przyczynia. Ostatni wiec olśniewał pozorami, odstraszał brakiem treści. Na ogólnych zebraniach szerszym polotem i głębszemi myślami odznaczały się jeno przemówienia ks. Adama Sapiehy i arcybiskupa Issakowicza. Po niesłychanie jałowych i nudnych obradach w sekcyach, uchwalono w czambuł i bez wyboru szereg rezolucyj, z których zaledwie kilka porusza sprawy, naprawdę żywotne i ważne. Żadna myśl nowa z wiecu nie wytrysła. Jednym z głównych mowców wiecowych był hr. Stanisław Tarnowski. W przemówieniu swem stwierdził, że nie byłoby u nas doszło do »otwartej a zuchwałej walki przeciw porządkowi społecznemu« (*sic!*), gdyby *władze* nie były się leniły z *„wytępieniem chwastów“*, gdyby nawet u rządu »zmysł moralny nie był stępiony«. Poglądowi temu nie można odmówić oryginalności, choć w niedługim czasie spotykamy się z nim już po raz drugi. Skierowany bezpośrednio przeciw stronnictwu ludowemu, jest on najlepszym dowodem bezsilności galicyjskiego konserwatyzmu.

Umizgi do rządu jednak, jako artykuł wiary politycznej w walce z niebezpiecznymi przeciwnikami, nie są nawet wyłączną umysłową własnością hr. St. Tarnowskiego i jego najbliższych przyjaciół. Z przyjemnością gotowi są użyć tego środka w praktyce także t. zw. »autonomiści« galicyjscy. *Gazeta Narodowa*, ich organ specyalny, oburzona śmiałością chłopów, że do rady powiatowej w powiecie pilzieńskim wprowadzili bez wyjątku swoich kandydatów, radzi szlachcie tamtejszej, żeby stanowczem wstrzymaniem się od wyborów spowodowała rozwiązanie rady i oddanie powiatowej gospodarki w ręce komisarza rządowego. »Tam atoli, gdzie włościanie członkowie rady powiatowej byliby ludźmi podjudzonymi przeciw inteligencyi i kierowali się tem, co menerzy stronnictwa ludowego im powiedzą, to i zdwojona gorliwość intelligencyi zawiści tej nie złagodzi, i powiat więcej ucierpiałby przez rządy, zdane w ręce ludzi nietylko niewykształconych, ale nadto duchem radykalnym przesiąkniętych, aniżeli przez rozwiązanie rady powiatowej i chwilowe kierownictwo c. k. komisarza«... Autonomia szukająca ucieczki w c. k. komisarzu, to jednak dziwotwór, nie często spotykany! Słusznie *Kuryer Lwowski* zauważa, że rozwojowi stronnictwa ludowego w znacznej mierze dopomaga systematyczne kompromitowanie się jego przeciwników.

Zapewne pod wrażeniem pogłosek o rychłem rozwiązaniu rady państwa i rozpisaniu nowych wyborów, zebrał się we Lwowie 8. b. m. t. zw. sejmowy komitet centralny, w pełnym swym składzie. W naradach wzięli także udział »demokraci starego autoramentu«, z czego należy wnosić, że nadal w samozwańczym komitecie pozostaną i że nadal jak dotąd zostaną pod komendą konserwatywnej większości. Przedmiotem dłuższych narad był przedstawiony przez p. Merunowicza projekt instrukcyi co do sposobu przeprowadzenia akcyi wyborczej do rady państwa z wszystkich kuryi. Według tejże instrukcyi — czytamy w organach zachowawczych, — jedynem politycznem hasłem dla komitetu centralnego jest wybór takich posłów, którzy zobowiążą się, że do Koła polskiego w Wiedniu należeć będą i solidarność jego uszanują. W tak obszernie nakreślonych granicach mogą się, zdaniem konserwatystów, zmieścić wszystkie stronnictwa i wszystkie odcienie opinii publicznej. Komitet przyrzeka przeto kierować się sprawiedliwością w obec wszystkich stronnictw, uznaje tylko, że byłoby największą klęską dla kraju, istnienie dwóch Kół, dwóch klubów polskich w Wiedniu.

Poważnie wątpić wypada, czy manifest w tym duchu wydany »do narodu«, odniesie zamierzony skutek. Licząc się z coraz to ogólniejszem niezadowoleniem, jakie stańczykowska polityka Koła wiedeńskiego w całym kraju oddawna wywołuje, należałoby raczej dążyć przedewszystkiem do zasadniczej zmiany regulaminu Koła, do którego z pewnością żaden poseł, pod hasłem stronnictwa ludowego wybrany, nie wstąpi, dopóki osławiona »solidarność« krępować będzie wszelką swobodę działania i służyć wyłącznie interesom koketeryi. W przeciwnym razie najgorętsze manifesty i instrukcye na nic się nie zdadzą, a równoczesne istnienie dwóch polskich klubów parlamentarnych w Wiedniu będzie nieuniknionem. Czy nasza sprawa narodowa na tem ucierpi, to przyszłość dopiero pokaże. *Prawdzic.*

== *List Korzona.* Jak wiadomo, na obchodzie lelewelowskim, urządzonym przez młodzież w Krakowie, czytano rzecz Korzona o Lelewelu, nadesłaną przez autora. Z powodu, że na tymże obchodzie śpiewano piosnkę »Czerwony sztandar«, autor odczytu wystosował następny list do redakcyi *Nowej Reformy*:

»Szanowny Panie Redaktorze! Dowiaduję się od przejezdnych, że w dniu 1 lipca b. r. na wieczorze, urządzonym ku czci Joachima Lelewela, po odczytaniu wyjątków z nadesłanego przezemnie »Poglądu na działalność naukową« tego wielkiego historyka, pewna, nieznana mi gromadka uczestników obchodu śpiewała pieśń socyalistyczno-rewolucyjną »Czerwony sztandar«.

»Jest to dla mnie przykrą niespodzianką, wobec ducha i wyrazów zaproszenia, jakie otrzymałem od kółka historycznego, a zniewagą dla Lelewela, który znosząc głód, zimno, ubóstwo, dotkliwsze niż najuboższy z robotników dzisiejszych, zajmując się od lat młodych do późnej starości losami ludu pracowitego, głosząc i praktykując zasady demokracyi ówczesnej, napisał przecież 19 grudnia 1850 r.: »Przeklęty ten socyalizm, i komunizm« (Listy... do rodzeństwa pisane. Poznań, Żupański, 1879, t. II, str. 344).

»Wiadomo, jak stanowczo i bezwzględnie wypraszał ze swej izdebki przybyszów, którzy przestępując próg, ośmielali się obrażać jego cele życia; dziś ja zastąpić winienem zmarłego w oświadczeniu, że ten »Czerwony sztandar« nie był i nie mógł być jego sztandarem.

»Wdzięczny będę każdemu pismu polskiemu, które niniejszą protestacyę moją powtórzyć zechce.

»Racz Szanowny Panie Redaktorze przyjąć wyrazy wysokiego poważania.

Tadeusz Korzon.

Warszawa, dnia 9 lipca 1896 r.«

Z KRESÓW.

Cieszyn, w lipcu.

Cisza przed wyborami do sejmu.— Gimnazyum bez prawa publiczności. — Stosunki w szkole realnej. — Starania Czechów o własną drukarnię w Cieszynie. — Pismo *Kresowiec* i jego wartość. — Niespełniona zapowiedź.

W życiu naszem w chwili obecnej wielka panuje jałowość i cisza niemal śmiertelna. Częściowo usprawiedliwić to można sezonem ogórkowym, który, jak wszędzie, tak i tutaj, na wszystkiem piętno właściwe wyciskać musi, nie ulega jednak wątpliwości, że w ostatnich latach w łonie obozu narodowego na zbytni rozkwit życia skarżyć się nie możemy.

Nawet zbliżające się wybory do sejmu śląskiego rozruszać nas jakoś nie mogą. Oprócz paru zgromadzeń wę-

drownych, a niezbyt licznych, urządzonych przez »Związek śląskich katolików«, i paru sejmików relacyjnych,— w ciągu ostatnich 4 miesięcy, nie było żywszych objawów życia politycznego.

Podobno na miejsce posła Jerzego Cieńciały z Mistrzowic proponowany będzie p. Teper z Dolnego Żukowa, człowiek jeszcze młody i energiczny, również ewangelik. Mówią także o wznowieniu kandydatury Dra Juliana Kreisla z Jabłonkowa, który dotychczas był zwykle stawiany w okręgach, dających małe dla narodowca polskiego szanse zwycięstwa. Obecnie ma kandydować w odpowiedniejszym okręgu. Do wyborów z kuryi powszechnej szykuje się podobno dr. Jan Michajda, adwokat z Cieszyna; sfery socyalno-demokratyczne głosować zamierzają na Misiołka z Krakowa lub Diamanda ze Lwowa.

Prawo publiczności dla naszego gimnazyum, pomimo że się już kończy rok szkolny i uczniowie wkrótce rozpuszczeni do domów zostaną, a wpisy nowych uczniów zapowiedziane są na d. 15 lipca, — dotąd nie zostało udzielone. Kogo za to winić? — doprawdy trudno dociec. Pomieszczona kilka tygodni temu w »*Reformie*« korespondencya z Cieszyna zwala całą winę na wyższą władzę szkolną, a głównie na Langhansa, inspektora szkolnego, który »pastwi się nad nami w nieludzki sposób«. Możeby raczej należało powiedzieć, że pastwi się nad nami własna nasza niezaradność. Wogóle powyższa korespondencya odznaczała się jakąś beznadziejną rozpaczą, a przecież autor jej, zapewne jeden z główniejszych naszych przywódzców, nie powinien był innym ducha odbierać i grozić zupełnem opuszczeniem rąk, całkowitem poddaniem się losowi. Już to nasze stosunki szkolne z wielu względów podobne są do tych, jakie panują w szkołach w Królestwie Polskiem. Język ojczysty sprowadzony do poziomu najpodrzędniejszego przedmiotu z wielką szkodą dla umysłowego rozwoju uczniów oraz ich narodowego uświadomienia. Nauka języka polskiego w tutejszem gimnazyum, szkole realnej i seminaryum nauczycielskiem powierzona jest nieegzaminowanym nauczycielom, z których jeden dość kiepsko nim włada, a obaj nie potrafią w uczniów wlać miłości dla tego przedmiotu i nie są w stanie uporać się z trudnościami, jakie pociąga za sobą wykład w obecnych warunkach, gdzie młodzieńcy 17—18-letni muszą uczyć się razem z młodszymi od siebie o lat kilka uczniami klas niższych.

Najgorsze stosunki panują w szkole realnej, której dyrektor p. Januschke, zniemczony czech, często jawnie wyraża pogardę swoją dla polskości, nie krępując się wcale względami pedagogicznej natury. Z małych chłopców usiłuje wytworzyć zastęp powolnych sobie narzędzi, zalecając im szpiegowanie kolegów, zwłaszcza z klas wyższych. Jeden z takich donosicieli, obecnie uczeń klasy 7ej, któremu oddawna p. Januschke zalecał odwiedzanie knajp celem szpiegowania współkolegów, tak zasmakował w tym sposobie spędzania czasu, że obecnie jest prawie nałogowym pijakiem, pomimo to posiada u dyrektora i u gospodarza klas całkowite uznanie, chociaż w ostatnim roku miał aż 5 piątek (stopień najgorszy). Nie przeszkadza to jednak wcale, że dzięki właśnie protekcyi dyrektora otrzymuje uczeń ów stypendyum biskupa Pukalskiego, przeznaczone, jak wiadomo, dla tych tylko, którzy za polaków się uważają, a ten bynajmniej o polskość swoją nie stoi. Na podaniu do Wydziału krajowego we Lwowie, które stypendyami Pukalskiego dysponuje, rzadki ten okaz upadku moralnego zaszczycony bywa zwykle najpochlebniejszą opinią, kończącą się wyrazami „*ist des Stypendiums würdig*“.

Dlaczego żaden z naszych filarów sprawy narodowej nie zatroska się o to, aby Wydział Krajowy galicyjski wiedział, dla kogo stypendya przeznacza? Czy na to potrzeba tak wiele czasu? Czy pociągnęłoby to za sobą jakiekolwiek niebezpieczeństwo? — Nie przypuszczamy.

Niedawno rząd krajowy w Opawie otrzymał podanie o udzielenie koncesyi na założenie nowej drukarni w Cieszynie. Czyni o to starania dr. Kordacz, adwokat z Cieszyna, w imieniu niejakiego pana Hlusicki, drukarza z Teresinu w Czechach.

Trzeba przyznać Czechom, że w swoich usiłowaniach sczeszczenia Śląska cieszyńskiego, wiedzą doskonale, od czego zaczynać należy. Posiadanie własnej drukarni w Cieszynie postępowi czeskich »zagonów« nadzwyczajby pomocnem było. Żałować należy, iż ze strony polskiej dotąd nie zastanawiano się poważniej nad tą sprawą i nie obrócono części funduszów takiego np. »Domu narodowego« na ten cel. Oczywiście, teraz uzyskanie koncesyi jest bardzo trudne, prawie niemożliwe, główną zaporą jest rada miejska w Cieszynie, złożona z żywiołów, bardzo dla polskości nienieprzyjaznych, a do opinii tej rady odwołuje się w takich wypadkach władza polityczna. Dopóki więc rada miejska nie będzie inaczej usposobiona dla nas, o uzyskaniu koncesyi ani marzyć.

W Cieszynie, gdzie spotrzebowanie druków polskich coraz bardziej wzrasta pomimo ogólnego na zewnątrz zastoju, istniejące trzy drukarnie, z których jedna bardzo niewielka, na potrzeby miejscowe nie wystarczają, właściciele zaś ich, niemcy, na polskie i czeskie druki nakładają o wiele wyższe ceny, niż na niemieckie. Tak np. arkusz *Nowin Tieszinskich* kosztuje u Prochaski około 70 złr., podczas gdy w Czechach, nawet w Pradze, za to samo zapłaciłoby się co najwyżej 25 złr. W tym samym stopniu, a może i więcej, drogie są druki polskie, można więc sobie wyobrazić, ile my tracimy rokrocznie całkiem niepotrzebnie, dlatego tylko, że nie posiadamy drukarni własnej.

Wielokrotnie już w ostatnich czasach zwracano uwagę na słaby rozwój prasy miejscowej polskiej, na kierunek jej wybitnie wyznaniowy, na małą jej żywotność, na brak pisma, któreby służyło interesom ogólno-narodowym i energiczniej, niż obecnie istniejące, opiekowało się polskim ludem na Śląsku, jakoteż i w pogranicznych miejscowościach Moraw.

Smutno wyznać, iż nawoływania te, dyktowane zrozumieniem potrzeb tutejszego ludu i dość złożonych stosunków miejscowych, dotychczas nie osiągnęły żadnego rezultatu, pomimo że nawet najmniej życzliwi dla postępu w tym kierunku wśród naszych przywódców głośno przyznają konieczność zreformowania istniejących gazetek lub założenia nowych pism ludowych.

Wprawdzie grono inteligencyi polskiej w Morawskiej Ostrawie zaczęło przed paru miesiącami wydawać dwutygodnik p. n. „*Kresowiec*“, ale wydane numery nie dowodzą wcale, aby zjawienie się tego pisemka mogło wypełnić braki dotychczas wychodzących czasopism. W kilku słowach postaramy się to wykazać.

Założycielami i kierownikami *Kresowca* są ludzie, którzy prawdopodobnie wydawaniem pisma nigdy dotychczas nie zajmowali się, przytem mnóstwo błędów stylistycznych i pisownia o pomstę wołająca dowodzić się zdają zbyt małego wykształcenia szkolnego członków redakcyi.

Grzech ten jednak jest jeszcze dość nieznacznym wobec innych, które redakcya *Kresowca* popełnia stale w sferze zasad. O drobnych usterkach i niewłaściwościach mówić tu nie będziemy, wymienimy tylko dwa, najbardziej sumienie redakcyi obciążające błędy, a mianowicie: 1) najzupełniejsze sprzymierzenie się z partyą niemiecko-liberalną dla wspólnego zwalczania czechów, bez pozostawienia sobie »wolnej ręki« w sporze czesko-niemiecko-polskim, oraz 2) wyraźnie zaznaczona sympatya dla caratu rosyjskiego

i uwielbienie dla jego wrzekomej czy istotnej potęgi, zamanifestowane z okazyi koronacyi.

Dowodem pierwszego jest agitacya podczas wyborów do rady gminnej w Morawskiej Ostrawie za kandydatami żydowsko-niemieckimi, przyczem ze strony polskiej zadowolono się jednym mandatem (p. Henryka Schrotta, prezesa czytelni polskiej), dowodem drugiego jest umieszczenie portretów cara i carowej z dołączeniem nadzwyczaj niedorzecznego artykułu, a następnie w dwóch numerach pomieszczonego opisu uroczystości koronacyjnych, z zachwytami, jakgdyby wyjętymi z jakiegoś urzędowego rysyjskiego organu.

Nie potrzebujemy chyba wyjaśniać, jak pismo polskie na kresach z podobnemi tendencyami szkodliwem być może dla społeczeństwa naszego. Szczęściem, że *Kresowiec* bardzo nieudolnie redagowany, nie zdołał dotychczas pozyskać ludu naszego dla siebie i wkrótce upaść musi, jeśli nie dostanie się w ręce odpowiedniejsze. Prawdopodobnie też długo istnieć nie będzie, bo grono jego założycieli na lepszą i uczciwszą redakcyę zdobyć się nie będzie w możności. Są to, o ile nam wiadomo, żywioły semickie, dobrem ludu polskiego zbytnio nie zainteresowane, trudno więc od nich oczekiwać zmiany na lepsze w tem piśmie.

Po za *Kresowcem*, pomijając zjawienie się *Niewiasty*, wydawanej przez ks. Stojałowskiego (głównie dla Galicyi), dotychczas nie zaczęło wychodzić żadne nowe pismo dla ludu naszego. Że ono jednak »wisi w powietrzu« i prędzej czy później założonem być powinno, nie ulega wątpliwości. W końcu czerwca rozszedł się po całem Księstwie prospekt na pismo ilustrowane p. t. „*Świt*“ i wywołał wiele nadziei, niestety jednak dotychczas nieziszczonych. Pierwszy numer tego pisma miał ukazać się w początkach lipca b. m., lecz »chłop strzela, Pan Bóg kule nosi.« Mówią tu, że wydawca tego pisma zamieszany został w jakiś proces prasowy z zabarwieniem politycznem i wskutek tego wydawnictwo to zostać musiało zaniechanem.

Zapewnić mogę, że zapowiedź nowego pisma została bardzo życzliwie przyjęta i że wiadomość o jego zaniechaniu wywołuje tu wśród szerszych kół ludności dość spory żal, nie wiem, o ile słuszny, bo trudno z góry przesądzać kwestyą, czy owo pismo rzeczywiście spełniłoby to, co zapowiadał wydawca.

Życzyćby należało, aby wydawanie pisma takiego, jakiem miał być »*Świt*,« czemprędzej zostało przez kogoś kompetentnego podjęte i poprowadzone na pożytek naszej polskiej ludności pracującej obu wyznań.

Tułacz.

= *Gazeta ludowa przed sądem.* Redaktorowi *Gazety ludowej* w Ełku, p. Bahrkemu wytoczył konsystorz ewangelicki sprawę o obrazę duchowieństwa. Pozwany napisał artykuł, w którym dowodził, że pastorowie nie spełniają należycie swoich obowiązków, nie rozumieją ludu i nie są przez niego rozumiani, wskutek czego szerzy się sekciarstwo wśród Mazurów pruskich. Na sądzie oskarżony uzasadniał szczegółowo swoje zarzuty i nawet prokurator przyznał, że jest w nich dużo słuszności, domagał się jednak kary za użycie zbyt ostrych wyrażeń. Podczas badania wstępnego przewodniczący izby karnej skwapliwie zaznaczył, że p. Bahrke zanim zaczął wydawać *Gazetę*, pisywał artykuły do dzienników polskich, co w oczach sądu niemieckiego jest jeżeli nie występkiem, to złą notą.

Izba karna skazała p. Bahrkego na 150 marek kary, ogłoszenie wyroku w trzech pismach i koszta sądowe, co razem sporą sumę wyniesie. Procesy prasowe są wypróbowanym na Śląsku i w Prusiech Zachodnich środkiem prześladowania pism polskich. Dla pism tanich i jeszcze nieustalonych kary pieniężne są bardzo dotkliwe, a nie wolno zbierać składek i przyjmować ofiar na ich pokrycie. W obec tego pożądanem byłoby utworzenie specyalnego funduszu prasowego, z którego w podobnych wypadkach pisma niezamożne otrzymywałyby zasiłki. Projekt ten kilkakrotnie już podnoszono, ale jakoś do skutku nie dochodzi.

= *Towarzystwa polskie na Śląsku pruskim.* Najstarsze bodaj z towarzystw górnośląskich »Towarzystwo św. Aloizego« w ciągu dwóch dni obchodziło w Bytomiu 25-tą rocznicę swego istnienia. Na tą uroczystość, która miała narodowy czysto polski charakter zaproszono miejscowe i w ogóle wszystkie polskie towarzystwa na Śląsku. Stawiło się przeszło 20 towarzystw, prawie wszystkie z chorągwiami i kilku księży z dziekanem Myśliwcem na czele. Szkoda tylko, że ci goście rozmawiali ze sobą po niemiecku, chociaż są Polakami rodowitymi i w stosunkach z ludem używają języka polskiego. O znaczeniu języka i narodowości mogliby się ci księża dużo nauczyć od dwudziestoletniego chłopca wiejskiego, który w tym przedmiocie wygłosił mowę z zapałem tak wielkim, że aż go prezes, ks. Stryczek pociągał kilkakrotnie zu połę od surduta. »Czysto polski duch narodowy — pisze jedna z gazet miejscowych — rozwija się, Bogu dzięki, coraz silniej między naszą młodzieżą na Śląsku. Jest to objaw wielce pocieszający, bo jaką jest młodzież, taką będzie przyszłość narodu. W naszej tu dzielnicy młodzieży narodowo myślącej i czującej mamy coraz więcej. Spodziewać się więc musimy, że nasza przyszłość narodowa — prędzej czy później — lepszą być musi.« Uroczystość bytomska była pierwszym jubileuszem towarzystwa polskiego na Śląsku. Dla upamiętnienia tego jubileuszu wydaną została książeczka z godłem, wyjętem z pism poety śląskiego ks. Boncka:

»Te i młodzieży wznoś sztandary,
Broń języka, broń swej wiary,
Kto te ojców skarby spodli
Darmo się do Boga modli.«

Policya nie stawiała szczególnych przeszkód obchodowi jubileuszu, widocznie w Bytomiu nie jest tak zawziętą na towarzystwa polskie, jak w pogranicznych Katowicach. Pisaliśmy niedawno o procesie, wytoczonym prezesowi Towarzystwa przemysłowców polskich, p. Lewandowskiemu, obecnie musimy zaznaczyć nowy a znamienny fakt nadużycia władzy. Towarzystwu przemysłowców nie pozwala policya katowicka nawet zwykłych zabaw urządzać. W niedzielę chciało towarzystwo urządzić pochód z muzyką z sali posiedzeń do ogrodu, gdzie miał się odbyć koncert. Policya, zawiadomiona o tem, zażądała wymienienia towarzystw, które wezmą udział w koncercie i pochodzie, a kiedy żądaniu jej zadośćuczyniono, zarząd policyi wysłał do przewodniczącego następujące pismo:

»Na podanie z dnia 30 czerwca odn. 2 lipca tego roku odpowiadamy Zarządowi, że pozwolenie na publiczne pochody na publicznych ulicach miasta nie może być udzielone.

»Dlatego zakazuje się niniejszem jakiegokolwiek pochodu.

»Równocześnie zwracamy Towarzystwu uwagę na to, że na uroczystość w ogrodzie wprawdzie udzielamy pozwolenia, że jednak *wszelką demonstracya w polskim kierunku* pociągnie za sobą natychmiastowe urzędowe zamknięcie uroczystości.«

Nie koniec jednak na tem: policya wydała rozporządzenie, że ani miejscowemu, ani towarzystwom z Królewskiej Huty, Bytomia i t. d. które przybyły w gościnę, niewolno nieść chorągwi i innych oznak w górę wzniesionych. Gdy jeden z członków »Lutni« z Bogucic wyszedł na ulicę z godłem swego towarzystwa — lirą, żandarm odebrał mu natychmiast ten niebezpieczny instrument. W ogrodzie, gdzie

się zabawa odbywała, było oprócz policyi miejscowej sporo żandarmów i komisarz nadgraniczny. Śmiesznie wyglądało to zmobilizowanie straży bezpieczeństwa przeciw niewinnemu towarzystwu i jego gościom, ale towarzystwu sprzykrzyły się ciągłe, niczem nie uzasadnione prześladowania.« Posłowie nasi — pisze *Gazeta opolska*, powinni poruszyć tę sprawę, iżbyśmy się dowiedzieć mogli, czy Katowice znajdują się jeszcze w państwie pruskiem, konstytucyjnem, czy też, leżąc nad granicą, mogą być, wedle upodobania, zaliczone pod knut moskiewski.«

Z WYCHODZTWA I KOLONII.

= *Kongres polsko-katolicki.* »Orędzie«, podpisane przez kilku księży i kilkanaście osób świeckich zawiadamia o zwołaniu kongresu polsko-katolickiego na 22 września b. r. do Buffallo N. Y. »w myśl życzenia polsko-katolickiego stronnictwa, w imieniu wszystkich parafij polskich, z upoważnienia znacznej większości polsko-amerykańskich księży i przedstawicieli organizacyi i towarzystw«. Szeroko rozpowiada orędzie o rozdwojeniu wśród Polaków amerykańskich, o podziale na dwa obozy, pałające nienawiścią, o walce z księżmi i jej rezultacie — osłabieniu wiary. Dwie plagi — zdaniem autorów tej odezwy — głównie trapią społeczeństwo polskie w Stanach Zjednoczonych: jedną jest »kościół niezależny« czyli schyzma polsko-amerykańska, »drugą plagą, jaka nas dotyka, jest Związek Narodowy Polski (!), organizacya szerząca zgubne zasady, niewiarę i popychająca lud do bezwyznaniowości i wyparcia się wiary ojców. Kongres obmyśli przeto sposoby i środki, któreby stawiły skuteczną zaporę, już nietylko niekatolickiej, ale niepolskiej propagandzie organizacyi, udającej wielce patryotyczną«.

Oprócz obmyślenia skutecznych środków walki z temi »plagami«, przedmiotem obrad kongresu katolickiego ma być 1) obmyślenie funduszów na utrzymanie »Domu emigracyjnego«, 2) założenie seminaryum, w którem kandydaci do stanu duchownego mogliby pobierać nauki, 3) założenie seminaryum nauczycielskiego, gdyż poziom wykształcenia dzisiejszych nauczycieli jest bardzo niski, 4) zorganizowanie stronnictwa polsko-katolickiego, do którego przystąpić winny wszystkie towarzystwa, które są polskie i zarazem katolickie, 5) obmyślenie organizacyi towarzystw robotniczych, zgodnych z duchem chrześcijanizmu i kościoła w celu przeciwdziałania socyalizmowi i anarchizmowi, 6) zastanowienie się nad środkami podniesienia katolickiej a zniszczenia bezwyznaniowej i niemoralnej prasy, wreszcie, ponieważ Polacy stanowią, co najmniej, »szóstą część katolików wszystkich narodowości, zamieszkałych w Stanach Zjednoczonych, a zatem byłoby też słusznem i sprawiedliwem, aby polscy księża przy obsadzaniu wyższych stanowisk i stolic biskupich w tym kraju byli równouprawnieni z kapłanami innych narodowości. Kongres poweźmie więc odpowiednie rezolucye i zaopatrzone podpisami, prześle je św. Propagandzie, a względnie Stolicy Apostolskiej w Rzymie, z prośbą o przychylenie się do tychże«.

Kongres mógłby przynieść pożytek ludności polsko-amerykańskiej, gdyby z pobudek nienawiści stronniczej, nie spaczono jego myśli pierwotnej. Ubolewa nad tem p. Modest Maryański, który pierwotnie projekt kongresu gorąco popierał i od inicyatorów jego otrzymał polecenie zaproszenia na ów wiec wybitnych ludzi z Wielkopolski i innych dzielnic. P. Maryański surowo potępia wykluczenie od uczestnictwa członków Związku Narodowego i twierdzi, że »to zdanie podzielają najwybitniejsi mężowie katoliccy«. Gdyby sprawa kongresu dała się jeszcze sprowadzić na właściwą drogę, o czem my wątpimy — najważniejszem jego zadaniem byłoby uporządkowanie stosunków kościelnych, koniecznym zaś warunkiem tego uporządkowania jest mianowanie biskupa polskiego. Inaczej, zdaniem p. Maryańskiego i wszystkich ludzi rozumnych, znających stosunki polsko-amerykańskie, zgorszenie i schyzma będą się szerzyć, lud straci wszelkie poszanowanie dla władzy kościelnej.

»Nad tą sprawą — powiada p. Maryański — powinno w pierwszym rzędzie zastanowić się duchowieństwo polskie. Niechaj weźmie pod uwagę, że zgorszenie idzie też od księży i rozszerza się. Wszak korespondentami najgorszego gatunku gazet złych i przewrotnych, jak »Wiarus«, są sami księża, również źli i przewrotni. A gdzie jest władza, któraby ich powściągnąć i ich złe instynkta ukrócić mogła? *De facto* jest, ale ani nas nie zna, ani nas nie rozumie; więc skutkiem tego na sprawy nasze wewnętrzne wpływu żadnego nie posiada i nie wywiera.«

Wszelkie usiłowania i prośby w sprawie ustanowienia biskupa polskiego dotychczas nie miały skutku, zdaje się, głównie dlatego, że nie dosyć stanowczo były przedstawiane i nie popierane przez tych, którzy ze względu na swe stanowisko uczynić to byli mogli i powinni. P. Maryański podaje praktyczny sposób załatwienia tej sprawy:

»Rozbijało się wszystko o rzekome *non possumus*, a mianowicie, że niepodobieństwem jest, aby Polakom w Ameryce, rozsypanym po rozmaitych dyecezyach, dać osobnego biskupa Polaka. Ale jest na to inna, bardzo prosta, łatwa, nader sprawiedliwa i słuszna droga wyjścia. Polacy katolicy Ameryki mają prawo zanieść do stolicy apostolskiej najpokorniejszą prośbę, aby w tych dyecezyach, gdzie Polaków katolików jest dużo, biskupi nauczyli się języka polskiego, a w razie gdyby to dla nich za wielkie trudności sprawiać miało, aby dobrali sobie do pomocy sufraganów - biskupów Polaków i aby w przyszłości biskupami takich dyecezyi tylko tacy kapłani przez Stolicę apostolską bywali mianowani, którzyby język polski znali i nim władali. Dalej Polacy katolicy Ameryki mają prawo zanieść do Stolicy apostolskiej najpokorniejszą prośbę, aby po dyecezyach z mięszaną ludnością katolicką, raz po raz biskupem dyecezyi mianowano też i Polaka. Że taka osobistość znakomicie językiem angielskim i niemieckim władać powinna, że świecić powinna nauką, przykładem i moralnością, to rzecz naturalna, ale że są osobistości kwalifikujące się na takie stanowisko, osobistości, którym nie jest obcą ani Ameryka ani katolicyzm amerykański, o tem wiem z pewnością«.

PRZEGLĄD PRASY POLSKIEJ.

= Z powodu zamieszczonego w *Kraju* wspomnienia o Aleksandrze Ostrowskim, margrabia Zygmunt Wielopolski wystosował do redakcyi tego pisma list ciekawy z wielu względów.

Autor »wspomnienia«, podpisujący się pseudonimem Sigma zarzuca i Ostrowskiemu i Wielopolskiemu, że nie rozwinęli dostatecznej energii przeciw »burzycielom porządku publicznego«. »Szlacheckiej ich dobroduszności« (?) zawdzięczamy:

„że burmistrz z Pacanowa i Chęcin nie wyleciał, ale wyleciał za to i Ostrowski, i margrabia, i, co najważniejsza, zepchnięty został wóz ojczysty ze swej kolei i rzucony na bezdroża“.

Bardziej od nich stanowczy p. Sigma (niestety, nie dał Pan Bóg... Sigmie rogów) oskarża nawet Wielopolskiego, że:

„Jakkolwiek może sam jeden męzkie przedsiębrał środki ratunku, w wykonaniu atoli wielokrotnie słabł, wola nie do-

pisywała zamiarom. W zamachu stanu, noszącym w dziejach miano „branki“, pomysł, mogący przynieść zbawienie istotne, w wykonaniu skarlał i stał się źródłem nie ratunku, ale nieszczęścia okropnego“.

Margrabia Z. Wielopolski broni ojca swego i wuja od zarzutu marzycielstwa i poczciwej dobroduszności.

„Budowali oni na gruncie historycznie-prawnym. Skoro legalność i prawo były punktem wyjścia i podstawą ich działań, nie mogli oni w czynnościach administracyjnych fantazją się kierować, arbitralnie i samowolnie postępując.

„Rozwiązanie przez Margrabiego „Towarzystwa rolniczego“ było prawnem i legalnem, skoro z jednej strony istnienie jego zagrażało porządkowi publicznemu, z drugiej do kierowania życiem społecznem najmiłościwiej nadane były właściwe instytucye; powiedzenie zebranym biskupom: „rządu w rządzie nie ścierpię“ było legalnem, bo kościół nie powinien nigdy służyć za narzędzie do celów politycznych; ale wypędzenie ze służby bez powodu chociażby Pacanowskiego, lub Chęcińskiego burmistrza, nie legalniejszem byłoby, aniżeli kaźnienie przechodnia dlatego, że na niego pies szczeka“.

Wyznaje p. Z. Wielopolski, że ani Aleksander II, ani książę Konstanty, ani margrabia Wielopolski nie chcieli zatwierdzić pierwotnie projektu branki, i że on, jako ówczesny prezydent Warszawy, z przyjacielem swym Sergiuszem Muchanowem projekt ten przeparł.

Wyjaśnienie tego faktu ma pewną wartość historyczną. P. Zygmunt Wielopolski nie wypowiada swego zdania, »czy legalnośc była na czasie«, chociaż zadaje to pytanie i tak strofuje »stanowczego« polityka *Kraju*.

„Pisząc o Ostrowskim, oskarżać go, że na urzędzie nie zachował się jak jaki basza turecki z przed stu laty (?), że nie stał się Rabagasem chwilowego położenia, że urzędników nie wypędzał ze służby za podejrzenia, a w dalszej nieuniknionej konsekwencyi, że nie wieszał za domniemane przekonania, nie katował na chybił-trafił, tego trochę za wiele“.

Znamiennym rysem listu jest nieukrywana nienawiść i pogarda dla »patrycyuszów z Nowego-świata i z pod Wawelu«, t. j. dla zwolenników Zamojskiego i w ogóle t. zw. »białych«. Na zastępie, który otaczał margrabiego, nie ciąży, zdaniem autora, żadna wina,

„nie spada ona i na ogół narodu, ale wyłącznie na ową falangę nikczemnie małoduszną, bez odwagi cywilnej, bez sumienia, która *nie chciała* ani zrozumieć, ani pojąć, a tem mniej poprzeć rządów wielkiego księcia Konstantego“.

═ Korespondent paryski *Nowej Reformy* podaje jako *curiosum* wyjątek z dziennika *L'Eclair*, który z powodu zjazdu międzynarodowego w Londynie podaje opinie przedstawicieli socyalizmu niemieckiego, włoskiego, francuskiego i t. d. Pomiędzy Liebknechtem i Macdonaldem zabiera głos w imieniu polskich demokratów socyalnych niejaki p. Gombiński:

„P. Gombiński, delegat socyalnych demokratów polskich, oświadcza nam, że przyjaciele jego są przeciwni niepodległości Polski. Działalność proletaryatu nie powinna dążyć do oswobodzenia narodu polskiego; jest to bowiem w istocie dążenie niemożliwe do urzeczywistnienia praktycznego *(pratiquement irréalisable)*, ponieważ pociągnęłoby za sobą oswobodzenie wszelkich krajów zabranych *(annexés)* i przekształciłoby walkę polityczną jednolitą klasy robotniczej w każdym kraju na seryę walk cząstkowych i bezpłodnych“.

„Nie potrzebuję dodawać — pisze korespondent — że kolonia polska tutejsza nic nie wie o tym wesołym dyplomacie“.

My zaś zaznaczymy, że t. zw. »demokraci socyalni Królestwa Polskiego«, tworzyli nieliczną organizacyę, która przestała istnieć, i p. Gombiński jest chyba ostatnim jej mohikanem.

═ Niektóre pisma rosyjskie namiętnie polemizują z *Pietierburskiemi Wiedomostiami* w sprawie polskiej, a właściwie w sprawie polityki rządu rosyjskiego względem Polaków *Swiet* oskarża ks. Uchtomskiego o zdradę interesów rosyjskich. *Moskowskija Wiedomosti* uderzają w ton liryczny:

„Na litość Boską, czyż rozumiecie, co czynicie! Przecież wy oczyszczacie drogę Polakom, dajecie w rękę broń wrogom Rosyi!

„Najmniejszy błąd prasy w takiej kwestyi, jak kwestya polska, może wyrządzić ogromną, nigdy nie dającą się usprawiedliwić szkodę.

„Pobudzona przez polskich intrygantów, pełna nadziei w skutek obietnic zagranicznych, podejrzliwie usposobiona przez księży ludność kraju zachodniego może być tylko ostatecznie obałamucona pojawieniem się podobnych artykułów w dziennikach rosyjskich. Chyba, że rzeczone dzienniki przestały myśleć o ludności tego kraju, a mają tylko na celu napisanie sensacyjnego akademickiego artykułu.

„Nasze dziennikarstwo ma na swem sumieniu wiele błędów z czasów powstania w r. 1863. Wielu widziało wówczas tylko jednę stronę (stronę niewłaściwych środków) i z niedościgłą lekkomyślnością zamykało oczy na oburzające czyny strony przeciwnej“.

Warszawskij Dniewnik stara się również zabrać głos w tym sporze, ale na słowa jego nikt nie zwraca uwagi; przezorne *Nowoje Wremia* probuje wybadać, skąd wiatr wieje i ogranicza się uwagami ogólnikowemi, dosyć nawet słusznemi, że »sentymentalizm nie prowadzi do ufności szczerej«.

W pierwszym zapędzie oburzenia redaktor *Pieterburskich Wiedomosti* nazwał p. Komarowa, redaktora *Swieta* »kandydatem do domu obłąkanych« i »błaznem dworu w Sofii«. Następnie jednak dziennik petersburski zaczął się usprawiedliwiać i dowodzić, że chodzi mu o skuteczność polityki rosyjskiej względem Polaków.

Korespondent *Pietierburskich Wiedomosti*, pseudonimem *Nabliudatiel* (spostrzegacz) zdradzający właściwe swoje zajęcie, tak odpowiada przeciwnikom:

„Gazeta moskiewska mniema — pisze *Nabliudatiel* — że prasa rosyjska, zwłaszcza petersburska, nie stoi na straży interesów rosyjskich. Lecz cóż może znaczyć to stanie na straży interesów rosyjskich? Alboż to znaczy, iż wszystko i wszystkich należy rąbać bez różnicy? Zwłaszcza konieczną jest ostrożność i delikatność przy dotknięciu spraw charakteru religijnego. Zbyteczna gorliwość rusyfikatorów, obrażających uczucia religijne chłopa polskiego lub litewskiego, wyrządza nieobliczoną szkodę sprawie asymilacyi kresów. Żywioły nam nieprzychylne, jakie niewątpliwie istnieją wśród inteligencyi polskiej i kleru katolickiego, zręcznie korzystają z naszych błędów i starają się przekonać lud polski, iż rząd prześladuje wiarę katolicką i dąży do nawrócenia wszystkich Polaków na prawosławie. Niższy urzędnik, postępujący w tej sprawie niezręcznie, chociaż, być może, i z niekłamaną gorliwością, przyniesie jej więcej szkody, niż najśmielszy i najdoświadczeńszy agitator. U tego ostatniego środkiem propagandy jest tylko słowo, podczas gdy u pierwszego jest nim czyn, są środki administracyjne, wywołujące daleko silniej od propagandy ogólno-narodowe niezadowolenie.

„Wy torujecie drogę Polakom; wy dajecie broń w ręce wrogów Rosyi!“ woła autor artykułu w *Moskowskich Wiedomostiach*. Mnie się zdaje, iż zarzut ten jest bezpodstawny. Świadomość swych własnych błędów szkody wyrządzić nie może i nie daje broni w ręce wrogów naszych. Nie należy się unosić, nie należy tracić równowagi przy roztrząsaniu poważnych i skomplikowanych kwestyi pierwszorzędnej państwowej doniosłości. W roku 1868 wszyscy publicyści rosyjscy (z wyjątkiem Katkowa) byli — zdaniem autora omawianego artykułu — na fałszywej drodze: prawie wszyscy patrzyli tylko w stronę nieprawidłowych środków rządowych, nie zwracając uwagi na oburzające czyny strony przeciwnej. Jest to całkiem słuszne, lecz z tego nie wynika, abyśmy w chwili obecnej mieli patrzyć uporczywie tylko w stronę przeciwną, śledzić za „oburzającymi czynami“ innych, nie dając baczenia na własne błędy, naruszające spokój społeczny, powstrzymujące bieg normalny życia narodowego.

„Prawie w każdym z mych poprzednich listów z „kraju Przywiślańskiego“, drukowanych w *St. Pietersb. Wiedomostiach*, można znaleść wskazówki „mniej więcej oburzających czynów drugiej strony“, to jest szowinistów polskich, niepoprawnych zwolenników jagiellońskiej lub wszechpolskiej idei, usiłujących podkopać wiernopoddańcze uczucia prostego ludu polskiego. Lecz należało wspomnieć także i o faktach, stwierdzających, iż rosyjscy drugorzędni działacze, nie pojmując należycie zadania rządu w kraju tutejszym, szkodzili, lub

przynajmniej mogli szkodzić drogiej nam wszystkim sprawie pojednania kraju z rosyjską ideą państwową".

P. Nabliudatiel (Markgrafskij) zaznacza, że chcąc wydawać zdanie o sprawie polskiej, trzeba wiedzieć dokładnie, co się w kraju dzieje, a nawet, co się dzieje w krajach przyległych.

„Niejednokrotnie pisałem już o tem, ze prasa rosyjska nie jest dostatecznie obznajomioną ze stanem rzeczy na naszych kresach zachodnich, że ona, jeżeli tak można się wyrazić, ślizga się po powierzchni kwestyi polskiej, nie zaglądając do jej głębi. A tymczasem głąb ta jest prawie niezmierzoną. Trzeba długo w kraju przemieszkać, aby ją zbadać i zoryentować się w sprzecznościach, jakie się spotyka na każdym kroku; aby odróżnić fałsz od prawdy, rzeczy ważniejsze od drobnostek; aby się oryentować wśród masy faktów, wypływających na powierzchnią wskutek wrącego życia kraju; aby poprawnie ocenić i oświetlić te fakty".

Zupełnie zgodzić się można z tem zdaniem, dodać jednak należy komentarz, że i p. *Nabliudatiel* zarówno w charakterze korespondenta, jak i w charakterze urzędowym, niema pojęcia o stosunkach polskich, i nie umie »oryentować się wśród masy faktów".

Wyraźniej jeszcze, aniżeli Nabliudatiel, określa stanowisko ks. Uchtomskiego jego mentor polityczny ks. Meszczerskij. W organie swoim *(Grażdanin)* powiada:

„Czy chociażby już sam fakt, że w 33 lata po Murawiewie jesteśmy w kwestyi polskiej na tym samym punkcie spornym: czy należy dusić, szczuć i drażnić Polaków w imię rusyfikacyi, czy też tę rusyfikacyę prowadzić spokojnie i wytrwale, szanując wszystko, co godne szacunku i prześladując wszystko, co na prześladowanie zasługuje, — w każdym razie nie jest dowodem, że system rusyfikacyi, dotychczas praktykowany, żadnej nie ma wartości, albowiem doprowadził on pp. Komarowów i t. p. do przekonania, że Polaków trzeba uciskać dlatego, iż bliżsi są rokoszu, niż przed 33 laty, przedstawiciele zaś umiarkowania w sprawie polskiej dochodzą do zdania, że kraj zachodni nie uspakaja się, bo grasuje tam polityka zaczepek i prześladowań".

W gruncie rzeczy przedstawiciele obu kierunków spierają się o system rusyfikacyi. Ks. Meszczerskij logicznie wnioskuje, że jeżeli w r. 1896 katolicyzm i polonizm zagrażają całości i bezpieczeństwu Rosyi, to środki, stosowane przez tak długi czas w celu ich osłabienia, wykazały swoją bezkuteczność. Ludzi, co się przy tych środkach opierają, słuszniej nazwać można zdrajcami interesów rosyjskich, aniżeli ks. Uchtomskiego, który wątpi jedynie o celowości takiej polityki rusyfikacyjnej.

Ugodowcom naszym, biorącym za dobrą monetę wystąpienia ks. Uchtomskiego i nie rozumiejącym ich właściwego znaczenia, należałoby zastanowić się poważnie nad tem, co mówi w przystępie szczerości ks. Meszczerskij:

„Waryacye tego rodzaju — pisze — jak żądanie w kraju nadwiślańskim naprzykład, aby ludowi polskiemu czytano manifest w języku, który źle rozumie, to jest po rosyjsku, albo żądanie, żeby ksiądz w gimnazyum rządowem uczył Polaka religii w języku rosyjskim, albo, żeby księdzu w guberniach zachodnich nie wolno było przyjeżdżać do wsi bez pozwolenia naczelnika powiatu, albo, żeby w szkole dla dzieci katolickich stawiano ikony prawosławne — wszystkie te waryacye na temat rusyfikacyi, dowodzą tylko słabości polityki i nieufności organów rządowych do własnej siły swojej, podtrzymują dalej materyał palny na gruncie praktycznym i nakoniec, już z tego tylko powodu, nie mogą stać się środkami uspokojenia i rusyfikacyi... Skoro my wszystko to zrozumiemy, wtedy może polityka w kraju zachodnim stanie się rosyjską i rozpocznie się rusyfikacya istotna, a nie papierowa".

Słowem, kłócą się ci panowie o skórę naszą, a raczej o sposób, w jaki zdjąć ją należy, zapominając o tem, że żywy organizm, na którym tej operacyi chcą dokonać, będzie odpowiednio przeciwdziałał zarówno gwałtownemu zdzieraniu, jak i łagodnemu obłupianiu.

— *Vorwärts* zamieszcza ciekawy dokument — poufne rozporządzenie rosyjskiego ministra wojny, przesłane do generała Dragomirowa w Kijowie, a zapewne i do innych naczelników okręgów wojskowych.

„Uważam sobie za obowiązek — pisze minister pod datą 5 marca b. r. — uwiadomić Waszą Ekscelencyę, że rewolucyjne, zagraniczne żywioły rozwijają znowu swoją działalność, rozsyłając swoje oszukańcze broszury i pisma ulotne między mieszczaństwo rosyjskie i żołnierzy. Za szczególniejszy przedmiot swej zbrodniczej propagandy wybrano sobie przedewszystkiem korpus oficerski. Nie wątpię ani chwili, że wobec niewzruszonej, silnej wierności poddańczej naszej armii nie znajdą w niej oddźwięku rewolucyjno-socyalistyczne usiłowania. Z obawy jednakże, aby nie spadła w armii odpowiedzialność na niewinnych, którym posyłane są tego rodzaju broszury bez ich wiedzy i woli, celem dalszego ich rozszerzania, proszę pana, abyś wytłómaczył komendantom pułków, że należy zaostrzyć środki, aby armię ochronić przed zalewem pism podburzających, a Waszą Ekscelencyę o każdem takiem usiłowaniu zawiadamiać". *Wannowskij.*

— W żadnym kraju prasa nie odnosi się z taką szczerą sympatyą do nas, jak we Włoszech. Liczne mamy przykłady, że prasa włoska pisząc o kwestyi polskiej, umie zajmować niezależne stanowisko, nie dbając czy jej opinie podobają się naszym wrogom. Najnowszy tego dowód mamy w jej głosach z powodu ostatniej koronacyi. Oto co pisze rozpowszechniony bardzo i wpływowy *Secolo:*

„Amnestya, świeżo udzielona przez cara z powodu uroczystości koronacyjnych nie przyczyni się zapewne do osłabienia uczuć nienawistnych, dzielących Polskę od Rosyi, lud bowiem polski w uroczystościach moskiewskich widzi jedynie nową sankcyę swej niewoli. Nowy car nie zrobił żadnego ustępstwa Polakom. Jego wstąpienie na tron nie przyniosło żadnej ulgi ani w moralnem, ani w materyalnem ich położeniu. Tradycye narodowe niegodziwie zdeptano, podczas gdy prawa i życie obywateli zdane są na łaskę najpodlejszego policyanta; przeciw żywiołom dążącym do wolności skierowano straszne ukazy, na ich podstawie patryoci są prześladowani w sposób najbardziej barbarzyński, jak za czasów Mikołaja I. Rosya pozwala drukować to tylko, co jej się podoba, to też zawsze trudno będzie wiedzieć za granicą, jakie jest istotne położenie Polaków."

Zaznaczywszy, że przejawy uczuć wiernopoddańczych były wymuszone przez władze, dziennik włoski dodaje:

„Rosyi nie uda się nigdy wyrwać z ziemi polskiej poczucia narodowego, które rośnie z dnia na dzień, dopóki nie drzyjdzie niedaleka chwila, kiedy Polska wróci do życia, by odzyskać swe miejsce śród wolnych ludów Europy."

W podobnym duchu przedstawia nasze położenie medyolańska *Lombardia*, gdzie znajdujemy artykuł p. t. „*Russia e Polonia*", przedstawiający ze znajomością naszych stosunków politykę antypolską dzisiejszego panowania.

„Aresztowania, więzienia, zesłania na Syberyę — czytamy w pomienionym artykule — oto na czem polegają obiecane reformy tak zwanego liberalizmu Mikołaja."

Powołując się na nasze pismo, autor szerzej mówi o prześladowaniu łacińskiego alfabetu w drukach litewskich, wreszcie zbija fałszywy pogląd, jakoby nasz naród pogodził się ze swem położeniem i zmienił swe stanowisko względem rządu rosyjskiego.

„Wszystko pozostało w stanie, jaki panował przed rokiem 1894, i opinia publiczna w Polsce pozostała jednakowo wrogą dla Rosyi."

Autor tego artykułu p. O. F. Tencajoli należy do publicystów włoskich, lepiej znających nasze stosunki i zajmujących się nimi stale. Poucza on swych rodaków o nas z prawdziwą znajomością rzeczy. Obok wspomnianego mamy w ręku z ostatnich czasów zamieszczony w tymże dzienniku jego artykuł p. t. „*Un italiano morto per la Polonia*" poświęcony pamięci pułkownika Franciszka Nullo, który zginął w r. 1863 w bitwie pod Krzykawką, oraz obszerny opis Muzeum Narodowego Polskiego w Raperswylu, ogłoszony w medyolańskiej *Perseveranza.*

Z OBCEGO ŚWIATA.

= *Szwed o Finlandyi.* Nie wiele wiemy o Finlandyi i za mało zajmujemy się jej sprawami, chociaż wspólność interesów narodowych wobec Rosyi ściśle oba kraje łączyć powinna, a dla nas bliższe poznanie stosunków tamtejszych z wielu względów byłoby pouczającem. Nieznajomość języka i odległość Finlandyi przeszkadzają wzajemnemu poznaniu się i porozumieniu, ale tę przeszkodę w miarę możności usuwać należy. Niedawno docent uniwersytetu w Upsali, Wilhelm Lundström wydał wspomnienia swoje z podróży po Finlandyi i kraju nadbałtyckim. W pierwszych dniach pobytu w Finlandyi przykro raziły p. Lundströma zewnętrzne oznaki rusyfikacyi: mundury rosyjskie żołnierzy, tu i owdzie w miastach szyldy rosyjskie. »Czyż nie oddziaływa na was przygnębiająco to stopniowe rosyjszczenie kraju«? zapytał autor studenta, z którym się poznał w Tawasthuzie. »Ma się rozumieć, jest to rzecz przykra, ale bądź pan pewny, że rusyfikacya jest powierzchowną i zależy głównie od stosunków z wojskami. W głębi duszy jesteśmy jednak Finnami, i cokolwiek przyszłość nam gotuje, nigdy Rosyanami nie będziemy«. Autor przekonał się następnie, że student miał słuszność i serdeczne przyjęcie, jakie go wszędzie spotykało, zatarło pierwsze, nieprzyjemne wrażenie. W Tammerforsie (największe miasto przemysłowe) nie chciano go zrazu wpuścić do fabryki, ale skoro tylko powiedział, że jest *Svensk*, (Szwed) — wszystkie drzwi gościnnie się przed nim rozwarły. Niejednokrotnie później, skoro tylko rozeszła się wiadomość, że przyjechał ze Szwecyi, podejmowano go z niezwykłą uprzejmością, jak przyjaciela, jak brata. A na pożegnanie każdy z wzruszeniem ściskał mu rękę i prosił drżącym od tłumionych uczuć głosem, żeby pozdrowił w jego imieniu »starą, ukochaną Szwecyę«. O Szwecyi Finlandczycy mówili zawsze z zachwytem i wdzięcznością. Patryotyzm i pobożność stanowią wybitne właściwości każdego Finlandczyka. Nawet w zajazdach wiejskich widział nieraz autor na stole obok Biblii dzieło Danielsona: »Połączenie Finlandyi z Cesarstwem rosyjskiem«, dzieło, które jest jakby katechizmem politycznym Finlandczyków. Na jednej tylko stacyi pocztowej znalazł Lundström portret cara, ale z podpisem fińskim *Suomen Suuriruchtinas* (Wielki Książę Finlandyi). Barwy szwedzkie — niebieska i żółta — są barwami narodowemi Finlandyi.

Żegnając się z krajem, autor ubolewa, że lud bratni znosić musi panowanie obcych najezdców. »O stara Szwecyo, oby nigdy ciebie i synów twoich nie spotkał los Finlandyi. Obudź się, póki czas jeszcze«!

Smutne wrażenia wyniósł autor z krótkiego pobytu w prowincyach nadbałtyckich, gdzie nawet w Rewlu zostało bardzo niewiele śladów wpływu szwedzkiego. Z oburzeniem mówi o prześladowaniu religii protestanckiej i zrujnowaniu starego gniazda nauki w Dorpacie. W tem ostatniem mieście studenci zawołali na pożegnanie: *Leben Sie wohl! Morgen sind Sie in Asien!* Istotnie, przybywszy nazajutrz do Petersburga, przekonał się uczony szwedzki o prawdzie tych słów.

Lundström widocznie jest poetą, kończy bowiem książkę swoją utworem rymowanym, wyrażającym zresztą obok marzeń młodzieńczych, uczucia i dążenia bardzo realne i niewątpliwie opisującym tylko zdarzenie prawdziwe. »Było to wieczorem. Około Tavasthuzu, nad brzegiem jeziora zebrało się pięćdziesięciu studentów. Jeden z nich, Finn z wystającemi kośćmi policzkowemi, podnosi puhar i zwracając się do gościa wędrowca, tak przemawia: »Bądź pozdrowiony na brzegach Wanaju Wesi, bracie ze Szwecyi, witaj nam w ojczyźnie fińskiej. Nie będę mówił o uczuciach dawnego braterstwa, ani opowiadał, jak kraj ten zdobyli ongi twoi ojcowie dla cywilizacyi i chrześcijaństwa. Nie wspomnę także o bolesnych krzywdach dzisiejszych, ani o ponurych wróżbach od Wschodu, ani o pogwałceniu świętości praw naszych. Nie, dzisiaj chcę mówić o zorzy przyszłych zwycięztw, bo ta przyszłość do młodych należy«.

»Na zaraniu tego stulecia prorok — poeta wzywał Szwecyę do odebrania Finlandyi. Uczciwie staraliście się o to, żeby godnie odpowiedzieć temu wezwaniu, ale dużo jeszcze pracy czeka młodzież skandynawską, zanim nastąpi wyzwolenie Finlandyi. Wiedzcie jednak o tem, że nie jesteście odosobnieni w swych dążeniach; i dla nas istnieje Finlandya, którą zdobyć musimy pracą i walką. Pamiętamy, że na lodowatych wybrzeżach Laponii, w mroźnych okolicach Archangielska, na pokrytych śniegiem tundrach Sybiru i w odludnym kraju Czudów, mieszkają zmuszone do milczenia gromady braci fińskich, oczekujących wyzwolenia z ciemnoty i mąk. I my czekamy na swego Aleksandra zdobywcę, który pójdzie na podboje ze sztandarem fińskim i kulturą fińską. Kiedy on się zjawi, nasz dzień nastanie i wystąpimy do boju dumni i wolni. Wtedy potężni wojownicy Północy zaniosą dobrodziejstwa cywilizacyi do krajów podbiegunowych, wtedy Szwecya wróci do granic dawnych, a młoda Finlandya rozciągnie swoje panowanie od Bałtyku do cieśniny Behringa, wzdłuż Oceanu północnego. Czekajmy, nadzieja podtrzyma nasze siły do chwili nowej, radosnej, wielkiej walki«.

Nowoje Wremia, pisząc o książce Lundströma, zaznacza, że »nieokiełznane fantazye« młodych patryotów finlandzkich mają dużo wspólnego z wielu utworami piśmiennictwa fińskiego i szwedzkiego. Juhani Aho, znakomity pisarz fiński, przed paru laty wyrażał nadzieję, że »zjawi się może wśród nas nowy Aleksander Wielki, który zjednoczy wszystkie plemiona fińskie, obali potęgę Persyi, (Rosyi), będzie założycielem wielkiej, światowej monarchii fińskiej i zaniesie światło cywilizacyi w głąb Azyi«. Dążenia separatystyczne są skromniejsze, ale bardzo wyraźne. Już w r. 1812 hrabia Armfeldt pisał o samodzielnej Finlandyi pod opieką Anglii. Niektórzy autorowie radzili utworzyć »Stany zjednoczone północno-europejskie« ze Szwecyi, Norwegii, Danii i Finlandyi. P. Estlander, obecnie profesor w Helsingforsie, propagował jedność kulturalną ludów północnych, »jako podstawę społecznego, i, być może, politycznego związku. Bekker, w broszurze pt. *La Finlande indépendante et neutre* radził Austryi, Anglii i Niemcom, żeby utworzyły z Finlandyi państwo neutralne. Poeci fińscy często wspominają o jakimś niewiadomym wrogu, z którym pogodzić się nie można, którego należy pokonać, lub wysławiają walki z Rosyanami. Jeden z nich, Herzberg niedawno (w r. 1893) pisał: »Trudna walka przypadła w udziale synom Suomi, muszą bowiem wznosić mur od Wschodu dla obrony Szwecyi i swojego kraju«.

KRONIKA BIEŻĄCA.

= *Nowoje Wremia* zamieściło wiadomość, że w Łodzi obywatele miejscowi muszą prenumerować wychodzące tam pismo rosyjskie *Łodzinskij Listok*, głupio i niedbale redagowane. Dla czego muszą? — pyta naiwnie dziennik rosyjski. Odpowiedź łatwa: dla tego, że jest to pismo rosyjskie.

= Cenzura warszawska nie pozwoliła na przedstawienia „Szklanej góry" Sarneckiego. Nie-ma w tej sztuce nic takiego, coby zakaz tłomaczyło, ale jest to baśń fantastyczna, cenzura więc domyślała się w niej jakichś alegoryj podejrzanych.

= Między urzędnikami rosyjskimi na Podolu donosicielstwo tak jest rozpowszechnione, iż nowy gubernator podolski oświadczył, obejmując urząd, że żadnych denuncyacyi nie będzie przyjmował.

— Studenci rosyjscy instytutu leśniczego w Petersburgu ogłosili w dziennikach list do kolegów francuskich ze szkoły leśniczej w Nancy, którzy przesłali im swoje życzenia braterskie z powodu koronacyi cara W liście tym studenci rosyjscy żądają, żeby „raz już ustała ta komedya grzeczności i telegramów" i oświadczają wyraźnie, że między francuskimi wielbicielami cara a lepszą częścią młodzieży ros. niema nic wspólnego.

— *Mikołaj II* zamierza odwiedzić Warszawę w drugiej połowie sierpnia, prawdopodobnie w końcu tego miesiąca.

— We Lwowie ma być otwarta w jesieni b. r. szkoła wojskowa.

— Wdowa Polka i katoliczka, której nazwiska pisma nie podają, mieszkająca w Mysłowicach na Śląsku, z małżeństwa z protestantem miała kilkoro dzieci. Najstarszy syn, 12 letni chłopiec zgłosił się sam dobrowolnie na naukę religii katolickiej. Pastor miejscowy Z., dowiedziawszy się o tem, wywiózł chłopca do domu sierot w Gliwicach, nie zawiadamiając o tem matki, która napróżno błagała sądów i władz, żeby jej syna zwrócono.

— W Perth Amboy w stanie new yorskim odsłonięto pomnik Kościuszki. Funduszów dostarczył proboszcz ks. Szymański.

— *Kresowiec*, pismo polskie wychodzące w Morawskiej Ostrawie, ogłasza odezwę do społeczeństwa, wzywającą do popierania projektu „Domu narodowego" i założenia szkoły polskiej ludowej w tem mieście, licznie zamieszkanem przez naszą ludność robotniczą.

— W Świeciu, przy wyborach ściślejszych pomiędzy Jaworskim a Holtzem, ostatni otrzymał o 170 głosów więcej. Wybór ten jednak napewno zostanie unieważniony, ponieważ odbył się nielegalnie na podstawie starych list wyborczych.

— Muśnicki, kupiec z Warszawy, założył w Poznaniu skład tytoniu i papierosów, który urządził i ozdobił w stylu rosyjskim.

— Niemcy w Gdańsku, z powodu zaprowadzenia kazań polskich w kościele św. Mikołaja chcą podać skargę do ministeryum, że polacy odbierają im kościół. Korespondent „Kraju" donosi, że do podania skargi podburzali księża.

LISTY CZYTELNIKÓW.

Z powodu III zlotu Sokołów polskich.

Od jednego z mieszkańców zaboru rosyjskiego, przebywających obecnie za kordonem otrzymujemy list o ostatnim zlocie sokolskim. Przytaczamy część jego w dosłownem brzmieniu, w przekonaniu, że czytelnikom naszym przypadnie do serca jego nastrój i przyda się niejedna z myśli, zawartych w tem piśmie.

Nie o sprawozdanie ze zlotu Sokołów mi chodzi: pragnę jedynie podzielić się z Wami wiązanką tych wrażeń i myśli, jakie, ta wspaniała uroczystość budzić musi w tych, co — jak ja — wyrwawszy się po raz pierwszy z ziemi niewoli, trafili na jeden z najpiękniejszych objawów tolerancyi uczuć narodowych.

Już sam widok Krakowa w dni zlotu był niezwykle pociągającym. Zniknęły gdzieś, stuszowały się opięte mundury, nadające zazwyczaj miastu obcą cechę; miejsce ich zajęły szare czamarki, amarantowe bluzy i sokole rogatywki paru tysięcy »druhów«, co jak bratnie ptactwo z dalekich gniazd Galicyi, Śląska, Poznania, Prus Królewskich, ba! nawet z Ameryki, podążyli stawić się do apelu, aby dać publiczne świadectwo siły i dzielności swych mięśni, mocy i jedności swego ducha.

Cześć Wam za to Sokoły! Nam, »okutym w powiciu«, niepodobna było bez rozrzewnienia patrzeć na Was zebranych razem — przedstawiciele Krakowa i Lwowa, Wrocławia, Bytomia, Poznania i Gdańska! Wasz lot Sokoli nie zna sztucznych granic. jak nie zna ich duch wspólny, który Was ożywia. Trudno tylko było oprzeć się żalowi, że w tym bratnim łańcuchu jednego brakowało ogniwa i nie było Sokołów z Warszawy, Wilna, Kijowa... Nie było — bo niema ich wcale, bo być ich dotąd nie może. Idea sokolska solą w oku jest naszym ciemięzcom, sam mundur Sokoła budzi groźną zawsze marę powstańca. Widzieliśmy niedawno, jak surowym wyrokiem zakończyła się sprawa kółka gimnastycznego, które ochrzcono nazwą Sokoła odeskiego.

Pomimo to brak *jak najliczniejszych gości* z zaboru rosyjskiego na zlotach sokolich, szczególnie zaś brak młodzieży — uważać musimy za błąd wielki Nie masz siły, któraby była w stanie zabronić gościom galicyjskim uczestnictwa w uroczystościach sokolich. A korzyść stąd wynikłaby zobopólna: nasz duch, skrępowany kajdanami, przy wspólnem ognisku rozgrzałby się mocniej, ożywił, — a drużyna sokola, czując wśród siebie bicia serc naszych, czułaby się tym potężniejszą, wielką narodową jednością.

Ważniejszem jednak stokroć od uczestnictwa w zlotach Sokołów jest rozszerzanie się w zaborze rosyjskim idei sokolej. »Nam nie potrzeba dziś starej młodzieży, ani młodych starców!« powiedział podczas poranku sokolego delegat poznański. Ten silny okrzyk protestu przeciwko fizycznemu i duchowemu charłactwu nietylko nad Wartą rozlegać się winien: i u nas — nad Wisłą i Wilją, nad Dźwiną i Dnieprem — ta groźna choroba zaczyna robić spustoszenia. Jedną z najskuteczniejszych rad na to: »zdrowy duch w drowem ciele«.

Nie mogąc organizować się w gniazda sokole, nie mogąc przybrać ich oznak zewnętrznych, możemy jednak pojedyńczo, czy zbiorowo treść ducha ustawy sokolej sobie przyswoić. Charłactwu ciała i dekadentyzmowi duszy przeciwstawmy tężyznę i polot Sokoli, — a zniknie nasza bezkrwistość myśli, stępienie uczuć i niemoc woli, — powróci energia czynu. Szczególnie wśród nas, — młodzieży uniwersyteckiej, wśród której budzi się coraz silniejszy protest przeciwko fizycznej i duchowej prostracyi, — idea sokola znajdzie dla siebie niewątpliwie grunt przygotowany. *L.*

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

P. S. K. w Genewie. Po ukazaniu się naszej korespondencyi ks. Stojałowski pisał do nas z zapytaniem, czy zechcemy umieścić jego odpowiedź bez zmian i bez komentarzy w tekscie. Odpowiedzieliśmy, że życzeniu jego stanie się zadość, że jednak odpowiedź wtedy tylko umieścimy, jeżeli będzie tyczyła wyłącznie zarzutów zrobionych mu w naszem piśmie, a zachowując przytem odpowiedni ton, nie będzie zbyt obszerna. Przed paru dniami otrzymaliśmy drugi list ks. St., w którym usprawiedliwia się, że jest obecnie bardzo zajęty, i zapowiada nadesłanie odpowiedzi, gdy tylko znajdzie trochę wolnego czasu. Czekając na tę odpowiedź, sprawy w dalszym ciągu nie rozwijamy. Listu ks. St. do redakcyi *Kuryera lwowskiego* nie możemy brać w rachubę, ponieważ jest w nim wszystko prócz kategorycznego wyparcia się autorstwa artykułów p. t. »Głos prawdziwego Polaka« drukowanych w *Warsz. Dzienniku.*

Nieznanej czytelniczce w Paryżu. List Sz. Pani otrzymaliśmy i dziękujemy za życzliwość. Większość uwag Pani nie od dziś podzielamy. W pożądanym kierunku już teraz nieco zrobiliśmy, ale sporo jeszcze czasu upłynie, zanim rzecz zaspokoi nasze wymagania. Nie wszystko można zrobić, coby się chciało.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego. Wydawca i odpowiedzialny redaktor **dr. Ernest Adam.**